



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCOJ

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Warszawa baluje, korzystając z krótkiego karnawału; im bliżej ostatków, tem więcej przybywa animuszu, tem skwapliwiej ludziska garną się do tańca.

Balów publicznych nie mieliśmy dotąd tak wiele, ale za to, pod skromniejszą nazwą wieczorków reśursowych urządzone, hasanki gromadzą liczne pary zwolenników ohocezej, a nie wystawnej, zabawy.

Najlepszem powodzeniem cieszył się bal artystyczny, urządony staraniem naszych Apellesów i Pygmalionów; pod firmą sztuki nawet walce i mazury nabierają większego uroku;—nie dziwnego też, że się tłoczono po bilety na ten bal, który odrębny miewa charakter w karnawale i wyróżnia się bardzo sympatyczną atmosferą.

Spotykają się na nim bowiem ludzie mniejwięcej jednej miary społecznej i towarzyskiej, dobrze znajomi, wyłącznie prawie z kół naszej inteligencji, sami swoi, jakby powiedzieć należało: panować musi zatem inny zupełnie nastrój, niż na zwyczajnych balach publicznych, które pewną sztywnością, chłodem, ceremonialnością jakąś się odznaczają.

Najnudniejsze, resztkami tradycyi dawnej utrzymujące się, bale maskowe w Warszawie, są przedmiotem drwinek, skarg, narzekań słownych i pisanych; a jednak siła przyzwyczajenia jest w ludziach tak wielką, że ci, co sobie szczęki wywichnieli od ziewania na trzeciej i czwartej maskaradzie w tym roku, w przyszłym wybiorą się znowu z całym tłumem do Sal Redutowych, aby coraz gorsze spotkać maski, coraz mniej dystygowane domina, coraz banalniejszą i jałową pro-

wadzić rozmowę,—byle tylko z wyczajowi zadość się stało.

Jedyną jaśniejszą stroną tegorocznych maskarad było światło elektryczne, zaprowadzone sposobem próby w Salach Redutowych; wpłynęło ono trochę na znizenie temperatury tropikalnej, ale nie rozproszyło mroków humoru i dowcipu, wśród ktorego zawsze błąka się u nas takzwaną „intrygą“, budząca grymas niesmaku, albo uśmiech politowania na ustach.

Karnawał odgrywa co do maskarad rolę pana Jowialskiego: powtarza uparcie stare bajki, znane przez wszystkich na pamięć; a jednak wszyscy przychodzą ich słuchać, choćby się mieli zdziżyć smiertelnie.

Niedaleki post zmieni programmat zajęć i zabaw publicznych Warszawy. Na pierwszym miejscu staną prelekcye i koncerty; rozpocznie ich szereg jeszcze podczas karnawałowego wiru dwóch potentatów: słowa i dźwięku. W przyszłym tygodniu bowiem usłyszeć mamy z katedry znakomitego duńskiego krytyka, Jerzego Brandesa, a już w bieżącym — słynnego pianistę niemieckiego Hansa Bülowa.

Brandes należy dziś do pierwszorzędných pogaw krytycznych w Europie; jako autor dzieła o „Głównych prądach w literaturze XIX wieku“ pozyskał sobie szeroki rozgłos i uznanie; zaś w ojczyźnie swojej zajął wybitne stanowisko reformatora w duchu i kierunku postępowym.

Stosunki osobiste z jednym z naszych lekarzy skłoniły go do odowiedzenia Warszawy i do wygłoszenia z katedry trzech odczytów w języku francuzkim, na korzyść naszego Towarzystwa Dobroczynności, w celu zasilenia funduszu czytelnicy bezpłatnych.

Nasz gość z Kopenhagi mówić będzie o „Romantyzmie we Francyi“ i o „Dzisiejszym stanie literatury skandynawskiej“.

Na początek postu mamy zapowiedzianą jeszcze jedną prelekcją francuzką p. Juliusza Brun'a,

na korzyść członków kolonii francuzkiej, potrzebujących pomocy, oraz na ubogich miasta Warszawy. Młody prelegent, znany ze swoich gładkich pogadanek publicznych o „Wiktorcie Hugo“ i „Daudecie“ z poprzednich lat, tymrazem mówić będzie o mało u nas znanym współczesnym poecie Sully-Prudhomme'ie.

Przyjętym a pożytecznym zwyczajem, Towarzystwo Osad Rolnych urządza również szereg odczytów publicznych na korzyść poprawczej kolonii w Studzieńcu. Pani Marennowa mówić będzie o „Kobięcie w naszej powieści“, Dr Anna Dobrska o „Środkach upiększających“, pp. Stanisław Bełza „W obronie opuszczonych“, Dr Konrad Dobrski „O cholercze“, Maryan Gawalewicz „O śpiewaku Wiesława“, J. M. Kamiński „O niewinnych“, Edward Krzymuski „O karach Piekła Dantejskiego“, J. A. Święcicki „O kobiecie na Wschodzie“, Piotr Jaxa Bykowski „O naszych towarzystwach i salonach“.

Kobieta, jak widzimy, w tegoczesnych tematach zajmuje najwięcej miejsca; *eo ipso* zainteresuje zapewne szerokie pola płci pięknej, która i tak najliczniejszy zastęp słuchaczek stanowi dotychczas na wszelkich odczytach publicznych.

Sezon koncertowy Wielkiego Postu otwiera znakomitej firmy pianista i kapelmistrz, sławny Hans Bülow, który przyjmie już udział w piątkowym koncercie symfonicznym, urządzanym przez dyrekcją teatru, pod kierunkiem dyr. Rzebiczka.

Spodziewać się można, że głośny artysta przyciągnie tymrazem większą ilość zwolenników, niż dwa poprzednie koncerty na scenie Teatru Wielkiego. Nawet udział takiego skrzypka, jak Ondrzczyk, nie przyczynił się ostatni raz do zapełnienia sali; nawet symfonia Beethovena nie zęciła słuchaczy; a jednak tyle się u nas rozprawia w żywym i pisanem słowie o muzyce i o zamiłowaniu do niej w kołach inteligencji warszawskiej!

Wprawdzie polepszenie interesów Towarzy-

stwa Muzycznego w roku bieżącym mogłoby pomysłniej świadczyć o naszych melomanach; ale zdaje się, że ten rezultat raczej energicznej agita-cyi i staraniom zarządu przypisać trzeba, aniżeli rozwinętemu zmysłowi piękna i poczucia potrzeby szlachetniejszych wrażeń muzyki w szerszych kołach publiczności.

Wspomniane przez nas Towarzystwo ożywić zamierza znowu swoją działalność przez założenie szkoły muzycznej, na co otrzymało właściwe zezwolenie ministeryalne. Zadaniem tej szkoły, powstającej pod wyłącznym kierunkiem Towarzystwa, oprócz ogólnego wykształcenia muzycznego jej uczniów, jest uzdolnienie głosów do śpiewu chóralnego, jak również specjalne wykształcenie przyszłych członków dobrej orkiestry, której brak często poza teatrem uczuwać się daje. Kurs obowiązkowy oznaczony został najmniej na rok jeden, zaś opłata wnoszona w dwóch ratach ma wynosić rs. 60 rocznie.

Z powodu braku środków Towarzystwo ograniczyło się na otwarciu szkoły śpiewu chóralnego, obecnie zaś postanowiło otworzyć inne wydziały, stosownie do posiadanych na ten cel funduszy.

Pragnąc przyjść w pomoc nowej instytucji, na początek ofiarowali się zdolni nauczyciele ze swą bezinteresowną zupełnie nauką; czy wszelako wobec istniejącej oddawna subwencyonowanej szkoły Instytutu Muzycznego szkoła Towarzystwa ma widoki pomyslnego rozwoju, ograniczona do własnych sił i oparta na łasce i poświęceniu jednostek?—przesądzać nie śmiemy. Być może, iż wobec przepelnienia Instytutu i ułatwionych warunków przyjęcia i nauki, nowe konserwatorium w skromniejszych rozmiarach wyrobic sobie potrafi większą popularność i uznanie.

W teatrze naszym pobyt Modrzejowskiej nader dodatnim wpływem w kassie i repertuarze się zaznaczył. Udział tak znakomitej artystki ożywić musiał całą atmosferę sceny i żałować jedynie potrzeba, że taka pierwszorzędną, i to nasza gwiazda sztuki dramatycznej, przesuwa się tylko gościnnie przez horyzont naszego teatru.

W bieżącym tygodniu kończą się jej występy abonamentowe. Wciągu swojego pobytu występy poranne przedstawienia przeznaczyła artystka na cele dobroczynne, a pożegnanie jej z publicznością warszawską odbędzie się także przy celu filantropijnym; bo oto w najbliższy Poniedziałek zobaczymy Modrzejowską na estradzie w Salach Ratuszowych, w których wieczorem zarząd „Schronienia nauczycielek“ urządza świetny koncert muzikalno-dramatyczny.

Publiczność nasza znajdzie sposobność zobaczenia obok Modrzejowskiej niezapomnianej naszej ulubienicy p-Popiel-Swięckiej, a tercet uzupełni p. Szymanowski w obsadzie jednoaktowego pieścidelka Pailleron'a pod tytułem: „Iskierka“.

Komedia ta, przypominająca dobre czasy repertoaru i popisów sceny Rozmaitości, odegrana zostanie na estradzie i będzie najpewniejszą rękojmią świetnego powodzenia artystycznego i materialnego owego wieczoru, z którego użyteczna instytucja, cicho i skromnie, bez narzucania się publiczności spełniająca swoje zadanie, odnieść ma należną korzyść i pozyskać zasiłek bardzo w tych czasach pożądany.

Częścią muzyczną koncertu zajął się p. dyrektor Zarzycki.

Przypuszczać można, że nawet Sala Ratuszowa okaże się za małą na ilość widzów, których tak pomyślny programmat i cel sympatyczny sprowadzi na ów koncert.

Dla miłośników sceny przygotowuje się wciąż Maja prawdziwa uczta artystyczna; słynna trupa aktorów niemieckich, zawiązana przez wielkiego protektora sztuki, księcia meiningeńskiego, zjechać ma do Warszawy i popisować się w szeregu dwudziestu przedstawień. Repertuar tej trupy, mającej europejską sławę i uznanie najsurowszej krytyki, składa się z samych arcydzieł niemieckiej i angielskiej literatury dramatycznej. Tragedye Schillera, Goethego i Shakespear'a co do całości i scenicznej wystawy, dochodzącej do ideału pod względem malowniczości dekoracji, kostyumów, wierności historycznej i archeologicznej, nie mają dziś lepszych przedsta-

wieli i staranniejszej reżysseryi na żadnej scenie europejskiej. Meiningierzy uważani też są za wzór dla każdego teatru i spodziewać się wypada, że pobyt ich w Warszawie nie przeminie bez korzystnego wpływu na naszą scenę, która nawet w niejednym wypadku mogłaby iść o lepsze z pierwszorzędnymi teatrami zagranicy, gdyby umiejętnie korzystano z posiadanego materiału.

Truppa meiningeńska nosi z sobą wszystkie przybory własne; oprócz głównego personelu posiada wyuczonych statystów i figurantów do obsady niemych ról w celu utrzymania w jaknajlepszej harmonii w całości gry i wystawy. W taki sposób tylko można sztukę traktować poważnie, dbając o najdrobniejsze odcienie efektu scenicznego.

Zanim smakosze teatralni pożywią się na takiej uczcie artystycznej, zwyczajnych *gourmand'ów* naszych czekają w niedalekiej przyszłości wrażenia i rozkosze gastronomiczne na zapowiadanej od tak dawna wystawie kucharskiej, która odbyć się ma podczas wielkiego postu w zabudowaniach teatryku Belle-Vue przy ulicy Chmielnej, zamienionego w świątynię sztuki kulinarnej. Wystawa projektowana jest na szeroką skalę, ale czy się uda—przewidzieć trudno, a z dotychczasowych zapowiedzi niewiele jeszcze można wynioskować.

Naszem zdaniem, nie powinno chodzić jedynie o języki i podniebienia smakoszy, którym każda lepsza restauracja da sposobność zadowolenia swego apetytu, ale o zebranie wskazówek co do produktów spożywczych, najpraktyczniejszego sposobu ich zużytkowania, higienicznego przyrządzania potraw, rozwoju i stanu pewnych gałęzi gospodarstwa domowego i przemysłu z niem w bezpośrednim związku stojącego, jak: piekarstwa, masłarstwa, rzeźnictwa, cukrownictwa i t. p.

Samego turnieju kucharzy nie warto urządzać z wielkim kosztem i zachodem w czasach, w których więcej chodzi o to, *co* zjeść, niż *jak* jeść najsmaczniej.

Od marcepanów potrzebniejszy dziś dobry i tani chleb.

\* \* \*

Nowy rok zapełnia nam rubrykę nekrologii z bolesną gorliwością. W ostatniej pogadance wspomnieliśmy o śmierci A. E. Odyńca; dziś winniśmy choć kilka słów pamięci poświęcić *Filipowi Sulimirskiemu*, b. redaktorowi „Wędrowca“, twórcy „Słownika geograficznego“, pożytecznemu pracownikowi na niwie literackiej i wydawniczej. Człowiek prawy, inicyatywy energicznej, przekonana stałych i głębokich w duchu postępowym, zeszedł do grobu nagle w pełni męskiego wieku, bo zaledwie po latach czterdziestu, z których połowę poświęcił pracy dziennikarskiej i redaktorskiej.

Cieszył się szacunkiem nawet przeciwników swoich: to najlepsze świadectwo wartości moralnej zmarłego.

Po długich cierpieniach zmarł także ś. p. *Józef Łoski*, obywatel, pisarz i wydawca. W chwilach wolnych od pracy zajmował się archeologią sztuki i badał pomniki naszej przeszłości umysłowej. studia te zaprowadziły go na pole dziejów sztycharstwa polskiego, którym później kosztowny poświęcił nakład. Najcenniejszym jego wydawnictwem były „Ryciny polskich i obcych rytowników“ w fotodrukowych podobiznach; własnej wytrwałości i zamiłowaniu zawdzięczał tylko zachętę i poparcie; od ogółu niewiele go doznał w podjętych pracach, ale zrazić się nie dawał.

W Płocku złożono do grobu nestora naszych biskupów, X. *Kacpra Borowskiego*, który jako człowiek i jako duchowny najlepszą pamięć po sobie pozostawił.

Niech spoczywają w pokoju!

## JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Aureli wszedł wkrótce do salonu, a Sędzinka miała sposobność porównać własnego syna do niego i trochę jej było kwaśno przyznać, że młody Porocho wyglądał pokaźniej, więcej panczykowato i pańsko. Pocięszała się tem, że Leonek za to miał przymioty, na których pewnie elegantowi zbywało.

Aureli chwalił się stosunkami i wiele mówił o Warszawie. Wyliczał mnóstwo pięknych pannen, a między innymi i panny barowny Justyny nie zapomniał, dodając, że wiele się nią zajmowano, gdyż tajemniczą jakąś historią o niej opowiadano na ucho.

Sędzina słuchała z nateżoną uwagą, ale nie nie dozwalała przypuszczać, ażeby Aureli się czegoś domyślał, a tem mniej jego matka.

Sędzinka rozpytywała go o syna, a towarzyszy, z wielkimi pochwałami o nim mówiąc, wyznawał, że w wielu rzeczach zazdrościł mu, ale nie spodziewał się doścignąć.

Od Porochowej dowiedziała się tylko, że syn jej powracał do Warszawy. Co się tycze Leona, matka-by go była chętnie zatrzymała na wsi i puściła mu folwark, jako sobie życzył; ale rozdzielać gospodarstwo, wyrzekać się ogólnego kierownictwa interesami, było jej trudno i smutno. Sama przed sobą tłumaczyła się, że potrzeba mu było ułatwić poznanie świata, dać trochę swobody i t. d.

— Ja też — odezwała się do sąsiadki — nie wiem, co z Leosem pocznę. Jemu się chce na wsi pozostać, a ja-bym pragnęła, aby tak trochę wyszumiał.

O pannie baronównie mowy już nie było i Sędzinka się uspokoiła tem, że Porochowa nie domyślała się wcale Justki, a zatem i korzystać nie mogła z wyświadczanego dobrodziejstwa.

Aureli późną jesienią powracał do Warszawy, i niewiadomo, jak zrodził się projekt, iż matka go tam z siostrą odprowadzić miały. Porochowej, jak wszystkim matkom, zdawało się, że byle córkę z kąta wyrwała i pokazała światu, zaraz się ktoś musi znaleźć, co ją oceni i.. pochwyci. *Hoc erat in votis.*

Miała więc pod opiekę Słociskiej wybrać się do Warszawy; o Justysi wistocie ani marzyła, ani przypuszczała, aby dziewczę, niepokazane, zahukane, miały jakieś nadzwyczajne spotkać losy.

Proces, jakim się każda istota wyrabia, kształtuje i przybiera sobie właściwe cechy indywidualne, tak jest skomplikowanym, że ktoby go chciał wyjaśniać umiejętnie, wskazując jak się tam składały atomy na pierwiastki, a pierwiastki na rozliczne kombinacje, musiałyby badaniu jednego życia własne całe poświęcić.

Szczególniej ta doba, gdy istota dobiega do najwyższego rozwinięcia swej potęgi, jest jakby dramatem sił i prądów z niezmierną szybkością walczących z sobą i wydających coraz nowe kombinacje.

Teorya ta, chociaż zdaje się wystarczać do zrozumienia fenomenów, zaledwie grube ich zarysy tylko oznaczyć może. Twórcza siła młodości przerabia ciało, zahartowuje narzędzia życia, rozwija umysł i nadaje kierunek prawie wszystkim władzom; ale są tajemnice w tem niezbędne, bo każde indywiduum jest nową oryginalną kreacją, może podobną do innych, nigdy im całkowicie równą.

Nieskończona jest rozmaitość jednostek ludzkich.

Ktoby się mógł spodziewać po zaniedbanej dziewczyninie, z sercem ściśniętym, z głową zamkniętą, że się z niej szybko cudownie wcale ciekawa istota wyrobi pod prądem trochę pomysłniejszych warunków? Miała tylko jako oręż jedną siłę woli dość energiczną, która może z poczucia organizmu, zahartowanego ostrem życiem, wpływała.

U Franaszków już, nanowo uciskana w inny sposób, myślała właśnie, jak się od nich wydobędzie, gdy trafiło się, cośmy opowiedzieli w Saskim Grodzie.

Wistocie wypadek to był cudowny, a przynajmniej tak rzadki, iż seciny lat na podobny trafunek czekać trzeba.

Aby go sobie lepiej wytłómaczyć, trzeba było bliżej znać tego biednego barona Rauna.

Dobry, łagodny, ufający ludziom, nieumiejący nigdy w złość ich uwierzyć, przebaczący nawet tym, co go postokroć zdradzali, baron padł ofiarą swych cnót i przymotów, czyniących go niedołężnym. Odzierano go z majątku, rodzina obchodziła się z nim nielitościwie, wreszcie sam los, który czasem jest szatańsko złośliwy, naprzód mu wydarł wiarę w tych, których on kochał, potem wszystkich tych, do których czuł przywiązanie, a gdy mu jedna jedyna tylko pozostała wnuczka, i tę na ostatku choroba w mgnieniu oka porwała.

Z drugiej strony właśnie w tej porze gdy już był prawie całkowicie zruinowanym, dwa ogromne spadki uczyniły go milionerem—wówczas gdy już nie miał się z kim dzielić.

Raun szukał kogoś do ukochania, do poświęcenia się dla niego, lecz zdradzony tylekroć, był ostrożnym. Jedna stara sługa, niegdyś dzieci jego piastunka, Marta, pielęgnowała go i bolała nad nim, bo kochała staruszką.

Sypał teraz jałmużnę i wychowywał sieroty, posyłał różnym instytucjom bezimienne datki, a życie mu szło tak niesłychanie ciężko, tak opieszale i długo!

Zbieg okoliczności w ciągu dosyć długiego żywota był taki, że nawet on, pełen dobroci, skłonny do zaufania, stał się bojaźliwym i nieufnym, a Marta truchłała, ile razy się kto w jego łaski wciskał.

Było w naturze tego człowieka, że gdy spotykał nowych ludzi, szukał w nich tylko stron dobrych, wyobrażał ich sobie zacnymi i poczciwymi, spowiadał się zaraz i wylewał przed nimi, dawał im zajrzeć w najgłębsze serca tajemki, sam bronił przeciw sobie wtykał im w ręce.

I każdy niemal stosunek z baronem kończył się dla niego tem, że go niepoczciwie, nielitościwie wyzyskano.

Teraz już jednak lękał się, zamykał usta, wstrzymywał się i nie oddawał odrązu, ale to go czyniło nieszczęśliwym.

Tak zbiedzonego, stęsknionego człowieka proszę sobie wyobrazić w położeniu tem, gdy mu los nastroczył sierotkę z twarzy niezmiernie wnuczkę przypominającą. Zabobonny wskutek cierpienia, powiedział sobie, że to Bóg się nad nim złitował.

Nawyki przez całe życie do obracania się w towarzystwie i między ludźmi oglądanymi wychowaniem, niewidując innych dzieci nawet, jak salonowe laleczki, pomimo nagłego rozkochania się w swej sierocie, był nieprzyjemnie jakoś uderzony szorstką nieuglaskaną naturą Justysi.

Zaczynał się już lękać, ale dziecię miało dar ten, że się dobrocią i łagodnością dawało pokierować chętnie, a panna Jolanta miała doświadczenie i miłość dla dzieci.

Pierwsze więc objawy metamorfozy dzikiego stworzonka następowały po sobie dosyć szybko. Justka, rozmarzona, znajdowała się jakby w raju. Wieczorem po pacierzu przychodziła do starej Marty, która się do niej przywiązała prędko, i ze łzami w oczach pytała jej:

— Matusiu moja dobra? powiedz ty mnie? czyż to wszystko prawda, co się tu ze mną dzieje? Czy wy mnie potem nie wypędzicie na ulicę, jak się wam z Justką nudzić zaczęło?

Dziadzio (baron się tak zaczął nazywać) uśmiecha się do mnie, głaszcze, całuje; ale ja, idąc na

zawołanie drzę i myślę tylko: Nuż on krzyknie nagle:— „A precz mi ztąd, włóczęgo!”

Marta ją uspakajała, a skuteczniejszymi nad jej zapewnienia były nauki panny Jolanty, która chwytem umysł dziecka karmiła, ciesząc się, że tu ani jedno jej słowo nie szło marnie. Uczyla się Justka w sposób niepojęty łatwo, prędko i jakby odgadując wiedzę, gdy raz już pokazano do niej drogę.

Lekcyi nigdy jej nie było zanadto, tak, że nauczycielka musiała ograniczać je, obawiając się, aby młodego umysłu nie przeciążyć.

Na zupełnie nową i nieznaną istotę oczy wszystkich były zwrócone z niesłychaną ciekawością, chcąc zajrzeć do głębi tej duszy w pączku. Marta, Baron, panna Jolanta, obawiali się wszyscy, aby z przeszłości się tam coś nie zakradło, jaka kropla trucizny, jakaś skłonność niebezpieczna, jakiś popęd zagrażający przyszłości. Badano ją, patrzano na nią zdala, tłumaczono czynności, lecz—oprócz pewnej obawy i nieufności względem ludzi, nie znaleziono nic.

Panna Jolanta też zauważyła, że dziecko, zawsze się lękając, aby go nie porzucono i nie pozbyto się chwytało łakomie wykształcenie, jak zapas na przyszłość.

Baron, do którego się przywiązała łatwo, pomimo nadzwyczajnej swej dobroci, budził w niej jakąś obawę.

Codzien przychodząc do niego na dzień dobry, spoglądała z trwogą przez drzwi uchylone, wsuwała się drżąc, jakby obawiała się naglej jakiejs odmiany.

Dziadek chciałby ją być mieć czulszą, więcej wylaną, okazującą serce, rozkliwiającą się łatwo: Justka tego nie umiała i na to się nie siliła. Z zahukania w dzieciństwie pozostała jej nieufność jakaś i obawa.

Ale serce, że miała dobre, o tem się przekonywano, bo niemal co dzień ubogie dzieci obdarzała, od ust sobie odejmując.

Umysł żywiej może w niej się wykształcał, niż serce. Była tak długo spragnioną elementarza, że teraz post, na jaki ją skazywano, wyrobił władzę przyswajania sobie nadzwyczajną. Panna Jolanta, zapytywana przez barona na stronie, wydziwić się nie mogła.

— Jeżeli się to nie zwichni, nie nabierze zarozumiałości, nie zarazi czem, będzie z niej kobieta wcale niepospolicie obdarzona, lecz męzkiego też ma wiele w sobie.

Mężka była w niej energia szczególnie, bo upodobania miała płci swej właściwe: lubiła kwiaty, zachwycała się poezyjkami, miała talent do muzyki, wiele smaku w ubraniu, ale zalotności najmniejszej.

W pierwszym roku nawet panna Jolanta zawyrokowała:

— Piękną nie będzie, ale gdy dorośnie, rozwinie się,—przy jej zdolnościach.

W drugim roku już dobry byt, swoboda, z tej poczwarki, po której panna Jolanta nic się nie spodziewała, zaczęły wyrabiać fizioznomią obiecującą piękność niepospolitą. Rysy, niepewne zrazu, zdawały się wyraziściej zakreślać; usta, oczy, owal twarzy zły się w harmonijną całość, wejrzenie pałało inteligencją.

Obejście się straciło wiele pierwotnej szorstkości, ruchy stały się wdzięczniejszemi, ale zawsze w chwilach, gdy silniej czuła się poruszoną, było w niej coś dzikiego, samowolnego, gwałtownego.

Dla Barona wszystkie jej przymioty i wady, wszystkie objawy serca i umysłu były—zachwycającami. Nie mógł się nią dosyć nacieszyć, podsłuchiwał lekcyi, zatrzymywał ją na rozmowy, kazał sobie czytać, kazał opowiadać, a gdy kto ze znajomych przychodził go odwiedzić, o niczem mowy nie było tylko o wnuczce. Panna Jolanta pozostała przy niej i nadal, jako kierująca wychowaniem i lepszym wyborze nie mógł baron uczynić, ale, że dla niej dawanie lekcyi rozlicznych stawało się uciążliwym, sprowadzano profesorów, nauczycieli, i baron wcale na to nie żałował.

Wychowanie chciał mieć tem świetniejszym, że tak długo była zaniedbaną.

Szczęólnego talentu nie okazywała Justka do niczego, ani upodobania wyłącznego, obchodziło ją wszystko, chciała być wtajemniczoną gdzie

tylko dopuszczono. Rzecz osobliwa! pieszczone i noszone teraz na rękach, ukochana przez barona, uwielbiana przez Martę, a nawet uznana przez trudną ze wszech miar pannę Jolantę, Justka zachowała w charakterze jakąś niewiarę w ludzi, powątpiewanie o ich szczerości, i ironiczna nuta dziwaczna brzmiała czasem na jej ustach niespodzianie.

Łatwowierność i optymizm dziadunia zdumiewały ją, przywiązywały do niego, lecz do nasładowania nie pobudzały. Lękała się zawsze jakiegoś dyssonansu w życiu.

Niezmiernie szybkie rozwijanie się istoty, której pierwsze kroki hamowano, nie dozwalało teraz nawet ocenić zmian, jakie w niej zachodziły. Dojrzewała zbyt pośpiesznie. Panna Jolanta usiłowała napróżno ją powstrzymać.

Z czytaniem szczególnie były niezmiernie trudności, gdyż nie można było wytłómaczyć jej, że książki pewne na później być musiały odłożone.

— Nie zrozumiesz tego — mówiła jej Jolanta.

— Jeżeli nie zrozumieniem odrązu, będę się silić, pracować, lecz w końcu, jak to może być, abym ja ludzkiego słowa nie pojęła!

— Stopniami! — powtarzała nauczycielka.

— A po tych stopniach tak muszę iść powoli! — tęsknie zaliła się Justka.

Baron miał w początkach wiele trudności w obraniu jej stosownego towarzystwa rówieśnic, o które panna Jolanta postarała się, mając stosunki z wielu domami, gdzie niegdyś nauczyla.

Wiedziano o tem, że to była sierota wzięta z ulicy, niepewnego jakiegoś pochodzenia; zrażało to, zniechęcało. Matki dla córek lękały się tego dziecka, które mogło być zepsute, ale baron tak umiał wydawaniami wieczorkami, z niezmiernym zbytkiem i okazałością, pociągnąć i obudzić ciekawość, że z początku kilka pań, potem wszystkie się dały nawrócić.

Justka się podobała.

W ciągu drugiego roku stary opiekun narażonym był na niespodziankę, dosyć w początku nieprzyjemną i groźną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## DWAJ ŚPIEWACY

(GARAY'A)

przełożył z węgierskiego

A. Lange.

Śród doliny w małej wiosce,  
Na uboczu gdzieś w oddali,  
Skromni, zgodni, niezawistni,  
Dwaj śpiewacy zamieszkali.

Pierwszy śpiewak był to słowik;  
Wielki smutek pierś mu darł,  
Bo piękności go pozbawił,  
Trosk miłosnych wielki żar.

Drugi śpiewak — to skowronek,  
Co miał szary strój ubogi,  
Który kąpał się w kurzawie,  
I gdzieś mieszkał w końcu drogi.

A gdy słowik ze skowronkiem  
Wszczęli pieśń—ci piewcy dwaj—  
I gdy tamtem w niebo wzlewał,  
Ten napelniał pieśnią gaj:

To ich muzyka czarowna,  
Całą ziemię radowała,  
Az słuchacza smutnych oczu  
Cicha szczęścia łza spływała.

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Styczniu 1885 r.

Rok nowy rozpoczyna się pod smutnymi wróżbami. Ogólne u nas panuje przygnębienie, kryzys rolnictwa zaciężył na moralnym usposobieniu naszego obywatelstwa, również jak i na materialnych stosunkach. Wszędzie podnoszą się skargi na ogólną biedę, na zastój w handlu, na upadek krótkotrwałego przemysłu cukrowniczego. Smutny ten stan, smutniejsze przewidywania, musiały się odbić i na życiu towarzyskim naszej dzielnicy. Nawet łowy tegoroczne pozbawione są wesolej wrzawy i swobodniejszego nastroju, wawrzyny bowiem nemrodowej chwały znajdowały troszkę zorane czola. Oczywiście, w tych warunkach i karnawał niezbyt ożywione rokuje zabawy. A choć zapowiedziany na koniec Stycznia koncert Mierzwińskiego ma podobno dać hasło do zapustnego wiru, prawdopodobnie jednak cały ruch towarzyski ograniczy się na rozrywce, której celem ostatecznym będzie przysporzenie funduszu na korzyść ubóstwa.

Odczyty X. Kalinki o generale Chłapowskim odbyły się przy znacznym udziale publiczności. Prelegent serdecznie był witany i podejmowany w mieście naszym. Zebrania mężkie u hr. Augusta Cieszkowskiego, u pp. Kazimierza Jarochońskiego, Mieczysława Łyskowskiego i Wawrzyńca hr. Eugeströma, zetknęły naszą inteligencją ze słynnym już historykiem sejmów czteroletniego. Praca jego o generale Chłapowskim dała pocho do nowego studyowania owej epoki dziejowej, w której wódz ten odegrał rolę, tak rozmaicie dotąd ocenianą, pod naciskiem namiętności stronniczych. Podczas, gdy wytrawne pióro w czasopiśmie krakowskim wypowiada zdania trzeźwe i do myślenia pobudzające o wypadkach i ludziach z owej epoki, biorąc pod rozbiór świeżo wydane *Pamiętniki Barzykowskiego*; tutaj dziejopis czasów saskich epoki odbiega na chwilę od ulubionego XVIII wieku, aby z tychsamych pamiętników wziąć assumpt do udzielenia koła Przyjaciół Nauk rysu historycznego tychsamych wypadków i charakterystyki tychsamych ludzi. Takie jednocześnie, choć w różnych kierunkach podjęte prace, służą rzetelnie do rozświecenia zawiłych punktów i wyrobienia sobie ostatecznego sądu o głównych sprężynach zdarzeń niepowodzeniem przyćmionych.

Wyszła w minionym roku ciekawa książka o stosunkach ludności trzech plemion zamieszkujących w Poznaniu. Niemiecki autor, p. Eugeniusz Bergmann, ogłosił w Tubindze studyum do historii rozwoju polskiej, niemieckiej i żydowskiej ludności księstwa. Oczywiście, należy jego sądy, zdania, a nawet obliczenia, przyjmować *cum grano salis*, ponieważ często w mętnych czerpie on źródłach, powtarza utarte komunały o t. zw. *Polnische Wirthschaft*, w zbyt czarnych barwach maluje stosunki społeczno-ekonomiczne kraju przed dobroczynną erą pruskich rządów. Nie mniej znaleźć można w jego pracy pełno ciekawych i zajmujących szczegółów, z których niech mi będzie wolno kilka przytoczyć. I tak dowiadujemy się, iż Poznańskie należy do najbardziej zaludnionych w państwie pruskim prowincji; przeciętnie bowiem przypada tu 2,977 mieszkańców na 1 milę kwadratową, kiedy nawet w Marchii Brandeburskiej (oczywiście bez Berlina) jest tylko 2,791. Ludność ta jest przeważnie wiejską i nigdzie też procent ludności tej kategorii nie jest tak wysokim, jak u nas. Wynosił on już w r. 1871 67.3% ogółu mieszkańców, podczas gdy w państwie pruskim stosunek ten nie dochodzi do 48%. Przewagę tę ludności wiejskiej autor uważa za właściwość krajów zamieszkałych przez szczep słowiański, a w szczególności polski. Statystyka małżeństw i urodzin świadczy dodatnio o plemienu słowiańskim, zdrowem, množnem, a moralniejszem od zachodnich ludów. Prowincya poznańska, według zestawień Bergmanna

z okresu półwiekowego, wykazuje ogół 12,479 małżeństw zawieranych corocznie, co daje ich 96 na każde 10,000. Liczba ta okaże się bardzo wysoką, gdy ją porównamy z odpowiednimi liczbami z Francji, Austrii, a nawet Irlandyi, gdzie na 10,000 ludności zaledwie 51 widzimy kojarzących się stadał. Małżeństw najwięcej przypada u nas na ludność polską. Niemcy i Żydzi coraz oględniejszymi się stają w zakładaniu rodziny, głównie powodując w tem materialnymi względami, obawą o środki niezbędne do życia. Stosunek dzieci zawsze jednak u Żydów jest najznaczniejszym, może z powodu młodości nowożeńców. Na sto małżeństw wypada przeciętnie u Żydów 476 dzieci, u Niemców 423, u Polaków 447. W stosunku zaś ogólnym do państwa pruskiego, gdy gdzieindziej na każde 10,000 ludności rodziło się rocznie 401 dzieci, w Poznańskim przybywało ich 441. Rozkładając zaś ten ruch narodzin na pojedyncze naszej prowincji narodowości, taką znajdujemy przeciętną, na każde 10,000 mieszkańców: u Polaków 460 urodzeń, u Niemców 419, u Żydów 419. Wszystkie szczegóły statystyczne podane w książce p. Bergmanna wysoce świadczą o moralności wiejskiego ludu w Poznaniu i tylko utwierdzić mogą w wysokim o wieśniakach naszych mniemaniu.

Ruch śmiertelności wszelako jest równie silnym w dzielnicy naszej, jak ruch życia. Gdy w całym państwie na każde 10,000 mieszkańców w powyższym okresie półwiekowym (1824—1873) umierało 296 osób, to w Poznaniu procent ów wzrastał do 340! Różnicę tę głównie zapewne sprawiać musi niezwykła śmiertelność dzieci polskich do 5-go roku życia, którą brakiem dbałości matek wieśniaczek wytłómaczyć można. Mimo tego przyrost naturalny nie spadał przeciętnie niżej, niż do 97, u staranniejszych Niemców podnosił się do 105, wreszcie u rojnych Żydów dobiegał liczby 131 na 10,000 mieszkańców.

Najmniej można polegać na obliczeniach dotyczących ogólnej liczby ludności, z uwzględnieniem narodowości. Najbliższem prawdy jest orzeczenie, iż ludność niemiecka stanowi 35 do 37% całej ludności poznańskiej. Że jednak w tę liczbę wciągnięto ewangelików, z których wielu jest Polaków, należy jeszcze sporo ująć z tej oficjalnej statystyki. Ogólne zaludnienie według opracowania Bergmanna przedstawiało się przy końcu pięćdziesięciolecia w liczbie 1,583,843 dusz bez konsystującego w Poznaniu wojska. Ludność niemiecka przeważa w okręgach, gdzie mniejsza posiadłość przemaga, polska zaś tam, gdzie utrzymała się większa własność, co dowodzi, iż wśród Polaków więcej bywa wyrobników, a wśród Niemców więcej posiadaczy ziemi. Najsmutniej wypadł dla nas rozdział traktujący o stosunku ziemi znajdującej się w ręku trzech różnych narodowości; dodatek bowiem zamieszczony w końcu dzieła Bergmanna opiewa, iż z końcem roku 1882 przeszło 3/5 większych dóbr w Poznaniu znajdowało się już w rękach niemieckich. Z obszaru zaś ziemi w ogólności, nie rozróżniając większej lub mniejszej własności, posiadłość polska i niemiecka jeszcze w r. 1880 się równowały, wszelako w następnych latach, tak obfitych w klęski, nastąpiła już stanowcza przewyżka na korzyść niemieckiego żywiołu napływowego; ziemia wciąż się nam zpod stóp usuwa, choć ludności stale przybywa.

Wychodźstwo, oczywiście, musiało się doczekać w tak szczegółowym studyum osobnego rozdziału. Jest ono najznaczniejsze w żydowskiej warstwie ludności, bo w tym samym półwiekowym okresie wyemigrowało Żydów 47,000 z ludności zaś różnej Księstwa wyszło najmniej, bo tylko 18,760. U Niemców ruch emigracyjny bardzo bywa znaczny, ale że immigracyjny go zrównoważa, nie tylko więc nie ubyło u nas Niemców w tym samym czasie, lecz owszem przybyły ich jeszcze całe chmary.

Oczywiście, ostatnie krytyczne lata odmienić musiały niemało w stosunkach określonych przez Bergmanna, który przeważnie zatrzymuje się na roku 1873. Ruch emigracyjny odtąd wzmógł się na der znacznie i widoki rolnictwa na złe się zmieniły i sama nawet własność niemiecka, ulega uciskowi agrarnemu obecnej chwili; niemniej praca

autora tubingeńskiego pomimo tendencyjnych może braków i niektórych niedość ścisłych danych, należy do rzędu poważniejszych studyów w tym kierunku podjętych i zasługuje na bliższe poznanie.

W ostatnim liście moim ubolewałem nad szkołami, jakie maruder prassowy, *condottiere* dziennikarski, osławiony już dziś i potępiony ogólnie *Goniec* wyrządza społeczności naszej. Nieograniczono się tu jednak na próżnych wyrzekaniach i jałowych wyrzutach. Założeniem tańszego jeszcze codziennego pisma zadano cios śmiertelny zgubnej *Gońca* robocie. W tym samym celu ofiarne i czynne obywatelstwo wielkopolskie nabyło od dwóch lat nędznie wlokącego żywot swój *Wielkopolanina*, rozszerzając go do miary politycznego dla klas średnich dziennika. Naczelną redakcją objął dr Tadeusz Jackowski, młodzieniec pełen zdolności, szerokich poglądów i ochoty do pracy w służbie publicznej. Nazwisko, które nosi, już mu najlepszemu było poleceniem. Syn szanowanego powszechnie patrona i założyciela kółek włościńskich i rolniczych, p. Jackowski już sobie naprzód ogólną zjednął sympatją i przymnożył abonentów. Wstępne numera uderzają miarą, powagą i spokojem, a dział odcinkowy nęci pięknym wierszem Seweryny Duchyńskiej i pamiętnikiem z Kościuszkowskich Czasów. Szczęść Boże młodemu redaktorowi i nowemu piśmie! Chętne ofiary i powszechna uczynność pozwoliły odrazu w 5,000 egzemplarzach rozesać *Wielkopolanina*, zniżając cenę prenumeraty do jednej marki kwartalnie, co niedościgną nęci taniością.

W Towarzystwie Przyjaciół Nauk ruch zimowy przymnaża odczytów. Obok już wspomnianej pracy p. Jarochońskiego, historyk prowadzi dalej pracę swą nad epoką saską. Kanonik Korytkowski uzupełnia ciąg szacownych monografií do stojników Kościoła Polskiego. Świeżo dał nam wizerunek prymasa Uchańskiego.

Każde główne miasto zwykło mieć jaki ród naczelny, który przez hojność swoją i czyny dla niego spełniane wiąże nazwisko swoje ściśle z jego dziejami. Czem dla Krakowa Potoccy, a dla Lwowa Sapiehowie, tem niewątpliwie dla Poznania Raczyńscy. Wszędzie prawie widać tu dowody i ślady niezatarte ich ofiarności i pełną zawsze darów rękę. Gdzie stąpać, herbowny ich Nałęcz upamiętnia nowe jakie dla miasta naszego dobrodziejstwo, bądź w odnowionym niegdys, w przeszłym jeszcze wieku, ratuszu, ich zachodem i kosztem, co nam zachowało tę perłę gotyckiego stylu i ozdobę grodu Przemysławowego, bądź w szpitalu,—gdzie fundacye łóżek z temże heraldycznym godłem o ich miłosierdziu świadczą—bądź w bibliotece noszącej ich nazwisko, w fontannie ze spizową Madonną Rafaela, w kaplicy królewskiej ze pomnikami Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, oraz w wielu innych archikatedry naszej pamiątkach i ozdobach. Wielki mecenas naszej dzielnicy, Edward Raczyński, zamierzał jeszcze obdarzyć naszą stolicę wodociągami i chodnikami, gdy śmierć tragiczna przedwcześnie pasmo dni jego przerwała. Tego rodzaju tradycje nie zwykły się zrywać; owszem, zobowiązującą bywają spuścizną. Nie dziw tedy, że nawet zamieszkały na obczyźnie, nad modrą falą Konstancyńskiego Jeziora, hr. Karol Raczyński, nie zobojetniał dla stron rodzinnych, i coraz-to nowymi dary je wzbogaca. Świeżo znów starą świątynię szamotulską obdarzył pięknymi *witrazami*, do poznańskiej zaś katedry przesłał dar wspaniałą obrazu mozaikowego, miernie wykonanego w pracowni jednego ze słynnych artystów włoskich, a będącego wierną kopią Muryłłowskiej Madonny Niepokalanego Poczęcia, z dodatkiem dwóch aniołków Rafaela, zachwycających oko u dołu Madonny Syxtynskiej. Piękne to dzieło upiększy świątynię dość ogoloną z wewnętrzných ozdób i w pomniki dawnej sztuki niezbyt bogatą.

Znany pессymista, filozof nieświadomości, wskrzesiciel nowoczesnego Buddyzmu, zestąpił nagle z wyżyn abstrakcyjnych teorii, aby swym ziomkom dać nieco praktycznych wskazówek w dziedzinie polityki bieżącej. I oto w chwili, gdy Niemcy stoją u szczytu potęgi i chwały, on

jeden upatruje w tej świetności, w tryumfach, które ją zgłotowały, zarody upadku, nasiona rozkładu. Czy w socjalizmie? w złowrogich prądach? w zarazach społecznych? Broń Boże. Zarodem złego, którego wypłenieniem do upadłego zająć się trzeba, są pozostałe w łonie cesarstwa obce, niezgniecione dotąd, żywioły: a więc Polacy, Duńczycy, mieszkańcy Alzacji i Lotaryngii. Tych wydziedziczać przemocą, a w ich ziemie ojczyste wprowadzać niemieckich kolonistów: oto zadanie obecnej chwili. Dla wielkiego filozofa pochłonięcie słabych przez mocnych jest nietylko prawem natury, lecz nadto obowiązkiem prawego Germanów potomka.

Nawykliśmy oddawna pić nienawiść, jako wodę, ale jadu zionącego z ohydnej elukubracji Hartmanna, w czasopiśmie *Gegenwart* umieszczonej, chyba w tym stopniu nie zaznaliśmy znikąd. Szeroko rozwinięte teorie zniszczenia wszystkiego, co nie jest niemieckiem, stanowią wątek owego głośnego artykułu, który świadczy raz jeszcze, iż w Niemczech wszyscy i wszystko, nie wyłączając poezji, filozofii i sztuki, ostatecznie wdziwiać musi pikelhaubę, aby służyć jednej tylko sprawie: pangermanizmu. Ostatnie to jednak wystąpienie Edwarda von Hartmanna powinno tych wszystkich, których on i u nas olnił filozofią podpatrującą naturę z ciemnego piekła nicości—rozczarować co do ogólnej wartości jego doktryny. Zaprawdę, plugawa być musiała kolebka tego hartmanowskiego pesymizmu!

## MEDYCYNA POPULARNA.

### O skrofulach (zołzach).

Właściwie skrofuly nie są samodzielną chorobą: jest to patologiczny, nienormalny stan organizmu, przedstawiający większe albo mniejsze usposobienie do chorób, a szczególnie do wszelkiego rodzaju zapaleń, które bardzo łatwo powstają i w odmienny sposób aniżeli w zdrowym organizmie przebiegają.

Istota choroby dotąd dokładnie zbadaną nie została, lecz za to może w żadnym cierpieniu stosownym leczeniem i higienicznymi warunkami tyle pomódz nie można, jak w omawianem.

U osób skrofulicznych przeważnie ulegają zmianie gruczoły limfatyczne, lecz zdaje się to rzeczą niewątpliwą, że i krew, a także inne tkanki, są chorobliwie zmienione; najwyraźniej jednak, jak powiedzieliśmy, zmiany występują w gruczołach limfatycznych, które znacznie powiększają się, twardnieją, a z czasem ulegają przeroszeniu.

Gruczoły limfatyczne odgrywają w odżywianiu organizmu bardzo ważną rolę i dlatego-to u osób skrofulicznych odżywianie podlega zaburzeniom. Zaburzenia te są najrozmaitsze: dotkniętemi być mogą wszystkie organy, zarówno kości, jak i mięśnie, skóra i błony śluzowe, trzewia i t. p. Niepodobna zatem, na tem miejscu, szczegółowo rozebrać wszystkich przypadłości, jakie do zołzów odnieść należy; ograniczymy się tylko na ogólnem scharakteryzowaniu symptomatów, a głównie rozpatrzmy przyczyny, sposób zapobiegania i samo leczenie.

Zołzy były znane w Starożytności. Już w biblii spotykamy się z opisem tego cierpienia, a Hippokrates i Galen dokładnie w swych dziełach opisali skrofuly. Poglądy, w miarę postępów nauki, naturalnie, zmieniły się; wyznać jednakże należy, że starożytni badacze mieli bardzo dokładne pojęcie o zołzach.

Jedną z najważniejszych, a może i najważniejszą, przyczyną jest dziedziczność t. j. dzieci przychodzi na świat z usposobieniem do choroby.

Pozwolę sobie cokolwiek zboczyć od przedmiotu, i tuszę, że żadna z czytelniczek za złe mi tego nie poczyna, tembardziej, że na usprawiedliwienie mam tak ważny argument, jak zdrowie dzieci naszych.

Otóż, mówiąc krótko a węzłowato, *złe* dobrane małżeństwa, są jednym z najczęstszych powo-

dów skrofulów u dzieci. Tak jest, mezalians fizyczny jest stokroć gorszym od rodowego lub finansowego nawet! Dzisiaj zwraca się uwagę przy zawieraniu małżeństwa na pochodzenie, na posag, niekiedy na stronę sercową, a prawie nigdy na zdrowie łączących się. Robią się wszelkie możliwe starania w celu dowiedzenia się, czem był pradziad i prababka panny młodej, czy pradziadek pana młodego już miał tytuł barona; przegląda się księgi hipoteczne i targuje po prostu o włókę ziemi, albo parę tysięcy rubli. Zwraca się często uwagę, czy panna włada ładnie francuzczyzną, czy gra na fortepianie, a kawaler czy ładnie tańczy; ale nikomu przez myśl nie przejdzie zwrócić uwagę na ich zdrowie!

Złe nie jest jeszcze tak wielkiem, gdy przy najmniej jedno z rodziców t. j. ojciec albo matka cieszą się niezbędnem zdrowiem; wtedy dzieci mogą być względnie zdrowemi; lecz gdy oboje są chorzy, popelnia się zbrodnia, poprostu, ni-czem niedarowaną.

Słyszę zapytanie:

— Więc ludzie nie zupełnie zdrowi powinni się na to zawsze wyrzec małżeństwa?

— Tak jest!

Do powodów, które stać powinny na przeszkodzie w zawieraniu małżeństw, zaliczają się: skrofuly, suchoty płucne, rak, choroby wogóle wyniszczające, wreszcie spóźniony wiek i blizkie pokrewieństwo.

Choroba ta jest rozpowszechnioną na całym świecie; warunki klimatyczne i telluryczne nie mają żadnego wpływu. Pojawia się we wszystkich klassach ludności, zarówno w wielkich miastach, jak i po wsiach. W tych ostatnich śmiertelność zołzowatych dzieci jest daleko większą. Jak wyżej powiedzieliśmy, stosownem leczeniem można procent śmiertelności, znakomicie ograniczyć.

Skrofuly bywają często nabyte, a czynnikami wywołującymi je są: w pierwszych latach życia niewłaściwe pożywienie, niedobre powietrze, wilgotne mieszkanie i t. p. Z chorób najczęściej odra staje się przyczyną skrofulów, daleko rzadziej szkarlatyna, tyfus, ospa i koklusz.

Co do przenoszenia skrofulów i innych chorób zapomocą szczepienia ospy, to takowe faktycznie dotąd stwierdzonym nie zostało, w każdym jednak razie, dla wszelkiego bezpieczeństwa, przeszczepiać ospę należy wyłącznie od bezwarunkowo zdrowych dzieci.

Płeć nie odgrywa tu żadnej roli: podlegają zołzom zarówno chłopcy, jak i dziewczęta.

Po wieku dojrzałości pojawienie się skrofulów u ludzi, którzy w dzieciństwie ich nie mieli, należy do rzadkości.

Jak zapobiedz skrofulom nabytym?

Na pierwszym miejscu staje kwestya karmienia dzieci.

W ostatnich czasach lekarze, szczególnie angielscy, wprowadzili sztuczne karmienie dzieci zapomocą krowiego mleka, wyciągów mięsa, kaszy i t. p. Otóż przeciwko takiemu postępowaniu zaprotestować wypada stanowczo. Dla dziecka do roku najstosowniejszem i nawet jedynem pożywieniem powinien być pokarm matki. W razie niemożności karmienia lub choroby należy przyjąć mamkę.

Dr. Flesch podaje (w *Archiv für Kinderheilkunde* 7—8 Heft 1884 r.) korzyści dla zdrowia dziecka, gdy jest karmione pokarmem kobiecym i przewagę tegoż nad krowiem mlekiem, nawet najlepszym, jakiego dostarcza zakład mleczniczy w Frankfurcie. Oto fakta oparte na długoletniem doświadczeniu: „Niepodobna zaprzeczyć, mówi Flesch, że mleko krowie jest najlepszym surrogatem pokarmu kobiecego, wymaga jednakże niesłychanej troskliwości, punktualności i czystości, gdy karmienie piersią przy najgorszych warunkach higienicznych pozwala dzieciom zdrowo się rozwijać, jak to w najbiedniejszych nawet klassach ludności codziennie widzimy, patrząc na pyzate, rumiane buzie i jędrne ciała”.

„Najzdrowszym okresem życia — mówi dalej Flesch — jest czas pozostawiania przy piersi matki. Dziecko jest prawie wolnem od chorób, grozą mu wprawdzie zapalenia opłucnej i opon mózgo-

wych, lecz przy wczesnem poznaniu choroby i stosownych środkach kończy się to prawie zawsze wyzdrowieniem zupełnem. Tymczasem dzieci sztucznie żywione podlegają bardzo wielu chorobom, które pozostawiają po sobie ślady na całe życie, a bardzo często stają się przyczyną śmierci. Wspomni my tylko o tak częstej niestrawności, wymiotach, biegunkach, chorobach skórnych. Odporność na choroby u dzieci sztucznie żywionych jest daleko mniejszą, aniżeli u dzieci karmionych piersią. U tych ostatnich koklusz przebiega zwykle bardzo łagodnie, gdy u pierwszych staje się często powodem chronicznych cierpień płuc, a niierzadko śmierci. *Cholera nostras*, która dziesiątkuje dzieci sztucznie karmione, prawie nigdy nie bywa przyczyną śmierci u dzieci karmionych mlekiem kobiecym. Dzieci takie podlegają często krzywicy (choroba angielska) i skrofulom; gdy tymczasem dzieci karmione przez skrofuliczne matki nieraz bardzo dobrze się rozwijają!”

Zołzy pojawiają się w dwojakiej formie: jako *kwiłnące* i jako *odrętwiате*.

Dzieci dotknięte pierwszą formą skrofulów odznaczają się wysmukłą budową ciała; mięśnie są bardzo słabo rozwinięte, skóra delikatna, szczególnie na policzkach, z łatwością się zarumienia, żyły, głównie na skroniach i powiekach, przeświecają, włosy są zazwyczaj blond, bardzo miękkie, oczy niebieskie, źrenice rozszerzone; odznaczają się takie dzieci bardzo żywym temperamentem, są kłótlive i przedwcześnie pod względem umysłowym rozwinięte.

Duval utrzymuje, iż osoby odznaczające się wyższą inteligencją, za młodu prawie wszystkie, w większym lub mniejszym stopniu, były skrofulicznymi.

Ta forma zołzów uspasabia bardzo do chorób błon śluzowych, szczególnie organów dróg oddechania; dzieci takie łatwo podlegają zaziębieniom, a w późniejszych latach suchotom płucnym.

Odrętwiiałą formą zołzów dotknięte dzieci są zwykle na pozór tęgie; tkanki tłuszczowej znaczna ilość, mięśnie jednakże są bardzo wiotkie, skutkiem tego ruchy ociężałe, głowa nadmiarę duża, nos i wargi grube, jakby spuchnięte, szyja krótka, wyдутa, gruczoły limfatyczne na niej obrzękłe; temperament takich dzieci jest flegmatyczny (limfatyczny), a zdolności umysłowe bardzo słabo rozwinięte. Odróżniają je jeszcze trzecią formę: pośrednią, która łączy mniej więcej symptomata dwóch powyższych, lecz zwykle przeważa jest na jedną lub drugą stronę.

Choroba ma przebieg chroniczny; najwybitniej występuje między 5—7 rokiem życia; później, przy odpowiednich środkach higienicznych, około wieku dojrzałości, może zupełnie zniknąć, i ludzie, którzy w dzieciństwie przechodzili rozmaite cierpienia właściwe skrofulicznemu, nieraz długie lata cieszą się najlepszym zdrowiem.

Mówiąc o przyczynach zołzów, wykazaliśmy już zgubne następstwa, jakie za sobą pociąga sztuczne karmienie noworodków; tu jeszcze dodać winniemy, że mleko krowie pochodzące od zwierząt dotkniętych „chorobą perłową”, która prawie identyczną jest z suchotami u ludzi, może bardzo zgubne skutki wyrzucić na zdrowie pijącego. Dr. Koch w płucach krów dotkniętych tą chorobą, znalazł podobne bakterie, jakie spotykamy u suchotników, i dlatego radzi, dla wszelkiej pewności, pić mleko jedynie po przegotowaniu — choroby perłowej u żywej krowy rozpoznać nie można — a poprzegotowaniu bakterie giną.

Nierzadko spotkać można rodziców, którzy z radością przyglądają się półrocznym niemowlętom, jak przy stole zjadają: chleb, kartofle, mięso, piją kawę, a nawet piwo. Otóż żywienie podobne dziecka, zanim mu się wyrzną zębki niezbędne do żucia pokarmów, zanim przewód pokarmowy dostatecznie rozwinię się i da możliwość strawienia podobnych rzeczy, jest jedną z najważniejszych przyczyn zołzów nabytych. Nawet u starszych dzieci czarny chleb, kartofle, jarzyny, powinny być z ich pożywienia wykluczone, a poprzestawać należy na mleku, bułce i drobno siekanem mięsie. Dziwna pod tym względem, szczególnie między matkami, rozkrzewiła się uiewiara. Znam takie, które mają po kilkoro zołzowatych dzieci — Mani cieknie z uszka, Oleś miał

całą zimę katar i kaszel, wszystkie mają obrzękle gruczoły, corocznie jeżdżą do Cieclocinka, — ale półroczny Władzio codziennie zasiada do stołu, wprawdzie na kolanach, i zajada w najlepsze kartofle i surowe owoce.

— Proszę pana, wychowałam tak czworo: wychowam i tego...

Ilość pożywienia dla dzieci powinna być dokładnie oznaczona. Są dzieci, które jedzą nad miarę, t. j. nie są zdolne zdać sobie sprawy „kiedy mają dosyć”; należy takie dzieci mitygować, zwracać uwagę: „czy nie za dużo”, a zwykle przyznają się dobrodusznie, że jedzą już jedynie przez łakomstwo, co za sobą pociąga zawsze większe albo mniejsze cierpienia żołądka, a jeżeli powtarza się czas dłuższy, i jeżeli pokarm jakościowo nie jest właściwym—skrofuły.

Co do jakości pokarmu, to musi być ona przez lekarza oznaczona. Jednym dzieciom można pozwolić większej ilości mięsnych pokarmów, drugie ograniczać się muszą na minimalnych dozach mięsa, a głównie odżywiać się mlekiem, kaszką, bułką. Zależy to od stopnia przemiany materii w organizmie, która w rozmaitych formach i stopniach zolżów odmiennie się odbywa.

Dzieją się pod tym względem bardzo często grube omyłki. I tak, niejedna, matka, widząc swe dziecko cokolwiek tejszem, lub jeżeli zaobserwuje na policzkach kolory, chociażby snem albo zmęczeniem wywołane, wzbrania mu zupełnie mącznych pokarmów, a żywi je wyłącznie mięsem i mlekiem, i naodwrot, cokolwiek chudsze dzieci bywają napychane bułkami, kaszą, kartoflami, a mięsa wcale nie dostają. Powtarzamy raz jeszcze: o ilości i jakości pożywienia u dzieci skłonnych do skrofulów, jedynie lekarz decydować powinien; inaczey można organizmowi dziecicemu niepoważną szkodę wyrządzić.

Co do częstości przyjmowania pożywienia, to takowe powinno być również unormowanem. Błędnem jest mniemanie, że im częściej dziecko dostaje jeść, tem lepiej; skutkiem tego są dzieci, które od rana do wieczora coś przeżuwają. W ten sposób przewód pokarmowy ciągle jest drażnionym i nie ma niezbędnego czasu do zupełnego strawienia i koniecznego spoczynku. Dziecko powinno w oznaczonym czasie otrzymywać swą porcyą i umieć czekać cierpliwie do następnego terminu, a jest to tylko kwestya przyzwyczajenia, nie więcej.

Spożywanie ciastek, cukierków, czekoladek między jednym pożywieniem a drugim powinno być stanowczo wzbronionem; można dziecku w kwadrans lub pół godziny po obiedzie dać coś słodkiego, lub owoc, lecz najadanie się lakociami jest bezwarunkowo szkodliwym. Częściej od rodziców pod tym względem grzeszą babcie, ciotki i goście domowi, którzy przez „dobroć serca” znoszą przy-smoki i napychają niemi literalnie swych faworytów.

Najzdrowszym napojem jest dobra, niezbyt zimna, woda. Herbata i kawa, a także piwo, mogą być dozwolone jedynie, i to w niewielkiej dozie, dzieciom dotkniętym kwitnącą formą zolżów: napoje te bowiem posiadają własność opóźniania przemiany materii w organizmie.

Czyste i świeże powietrze jest jednym z najważniejszych czynników. Wie o tem aż nadto dobrze każdy ojciec, każda matka, i, kto tylko w możności jest, wysyła swój drobiazg latem na wieś lub do wód i robi bardzo racjonalnie. Złe mimo to nie jest zupełnie usuniętem: kryje się ono gdzieindziej. To kilkotygodniowe albo kilkumiesięczne nawet oddychanie dobrem powietrzem, nie wynagrodzi straty, jaką dziecko ponosi, dusząc się całą zimę w ciasnym pokoiku, gdzie niema dostatecznej ilości powietrza, światła, gdzie sypia po kilka osób. Przyznajmy sobie pod tym względem niczem nie darowaną... niesumienność. Mamy salony, budoary, gabinety, przedpokoje, a często i kuchnie obszerne i widne, lecz pokoje dziecinne zazwyczaj są ciasne, ciemne, jednym słowem: niehygieniczne. Dziecko, szczególnie w latach, gdy do szkół chodzi, gdzie przez kilka godzin oddycha zepsutem powietrzem, jeżeli wróciwszy do domu i zrobiwszy lekcye, spać

się położy w ciasnym, źle wentylowanym pokoju, nie może być zdrowem. Nad szkodliwością mieszkań wilgotnych rozwodzić się nie będziemy; aż nadto dobrze, niestety, wszystkim są znane smutne następstwa, jakie przemieszkwanie w nich za sobą pociąga.

Mówiąc o gimnastyce (Bluszcz, N. 41 z r. z.) wykazaliśmy, jakiej doniosłości dla organizmu jest ruch, czyli praca mięśniowa. Powtarzać tego nie będziemy; zaznaczyć tylko wypada, iż dzieci dotknięte zolżami, powinny bezwarunkowo gimnastykować się; szczególnie gimnastyka szwedzka może bardzo przyczynić się do przyspieszenia zupełnego wyleczenia.

Co się snu tyczy, to dzieciom dotkniętym kwitnącą formą można pozwolić nieco dłużej sypiać 9 do 10 godzin na dobę; gdy tymczasem dzieci dotknięte odrętwiałymi zolżami, mają aż nadto dosyć 8 godzin snu; sypianie w dzień jest dla nich szkodliwym.

Czystość dla dzieci jest niezbędną i w tym celu powinny być kąpane przynajmniej raz w tygodniu. Nieocenione korzyści oddają zimne wycierania, gdyż prócz tego, że utrzymują czystość skóry, czynią ją mniej wrażliwą na zmiany temperatury, skutkiem czego dzieci stają się mniej skłonni do zaziębień, które sprowadzają stany zapalne, a które u dzieci skrofulicznych trudno się leczą, nierzadko zaś stają się bardzo groźnymi.

Wycierania należy dokonywać grubym (angielskim) ręcznikiem, umaczanym w wodzie, do której dobrze jest dodać pewną ilość soli kuchennej; temperatura, szczególnie z początku, musi być pokojowa, t. j., woda powinna przez noc pozostawać w pokoju; stopniowo przyzwyczajając należy do zimniejszej (studziennej). Wycierać potrzeba natychmiast po przebudzeniu, w łóżku, nie wstając, że dziecko jest rozgrzane; po śnie krążenie krwi jest spokojne i nie ma obawy, aby zaziębienie nastąpić mogło. Już tym jednym środkiem można, jeżeli nie radykalnie wyleczyć, to przynajmniej zahartować, t. j. uczynić organizm odpornym na zaziębienie, które najczęściej jest przyczyną chorób u dzieci skrofulicznych.

Prócz powyższych higienicznych jest bardzo wiele środków leczniczych, które, stosownie zastosowane, najczęściej leczą skrofuły radykalnie.

Wielkie usługi oddają wody słone, a mianowicie takie miejscowości, jak Kreutznach, Iwoniec, Adeleidsquelle i t. p., których działanie spotęgowanem jest obecnością jodu i bromu, a także nasz Cieclocinek i Ischl; prócz tych, że tak powiem, specjalnie ku leczeniu skrofulów stworzonych źródeł, na uwagę zasługują kąpiele morskie, a także hydrapatia.

Jednym z najpotężniejszych środków radykalnie leczących zolży jest tran. Nie należy jednak nigdy bez rady lekarza stosować go. Są bowiem formy, w których wprost szkodliwym stać się może. Jeżeli zaleconą będzie kuracya tranowa, należy z największą cierpliwością przyzwyczajając dzieci do tego wstrętnego środka; zazwyczaj jednak mali pacycenci bardzo prędko przyzwyczajają się do niego, a nawet bardzo wiele z nich upomina się o tran, jak o przysmak. Powinno się dawać zawsze po jedzeniu, z początku w bardzo małych ilościach, łyżeczkę od kawy dziennie, i stopniowo dożyć powiększać, dobrze jest przytem robić kilkodniowe przerwy.

Już wyżej wzmiankowaliśmy, iż dzieci z kwitnącą formą zolżów okazują wielkie rozwinięcie pod względem umysłowym. Skutkiem przyspieszonej przemiany materii, jaka w ich organizmie się odbywa, kości nadzwyczaj wolno podlegają stwardnieniu, a skutkiem tego znowu mózg znacznie wcześniej niż u zdrowych i dotkniętych formą odrętwiałą dzieci, rozwija się. Rzeczywiście podziwiać potrzeba tych malców 5-0 i 6-0 letnich, którzy bez żadnej nauki prawie, wprost ze sluchu, recytują na pamięć dziesiątki wierszy, umieją tabliczkę mnożenia i t. p. Otóż takie dzieci należy do nauki zaprzęgać jak najpóźniej, gdyż u nich wszelkie wyężdżanie władz umysłowych stać się może powodem bardzo groźnej choroby, a czasami śmierci. Nawet w późniejszych latach nie należy przeciążać ich

nauką, zbyt wczesnie do szkół nie oddawać i oile możności; łączyć pożyteczne z... przyjemnem.

Tego ostatniego w późniejszym życiu tak mało!

Dr. Józef Starkman.

OD

### Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii

w 1884 roku.

Wobec nieprzyjaznych stosunków miejscowych, które zrzadzają, że położenie Polaków w Rumunii jest krytycznym, jedynie solidarność i siły stowarzyszone mogą stawić czoło—zagładzie.

Nie nasza rzecz rozbiierać, czy ogół ziemców pojał tę konieczność; o sobie atoli powiedzieć możemy, że w tym 19-ym roku istnienia Biblioteki pracowaliśmy głównie nad ustaleniem Towarzystwa i staraliśmy się członkom jego zapewnić możliwe korzyści moralne, a częstokroć i pomocy materialnej udzielić — oczywiście w warunkach ustawą zakreślonych.

Rzetelną było dla nas pociechą poparcie niektórych warstw społeczeństwa naszego, objawiające się przez dary w książkach i pieniądzach. I tak ofiarowano z kraju 180 dzieł, pomiędzy którymi odznaczają się wielką wartością darowane przez Zarząd Biblioteki Kornickiej, przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu i przez p. Czepielowskiego. Prócz tego redakcy: „Ateneum“, „Dziennika dla wszystkich“, „Gazety świątecznej“, „Gońca Wielkopolskiego“, „Kroniki rodzinnej“, „Niwy“, „Pamiętnika fizjograficznego“, „Prawdy“, „Słowa“, „Tygodnika ilustrowanego“ i „Wieczorów rodzinnych“—prysyłały swe pisma darmo; zaś za pół ceny otrzymywaliśmy: „Bluszcz“, „Biesiadę literacką“, „Kłosy“, „Medycynę“, „Przegląd tygodniowy“, „Romans i powieść“, „Tygodnik powszechny“. Dodawszy do tego 63 dzieła najnowsze i czasopisma zakupione z własnych funduszy, posiada Biblioteka obecnie 3.827 tomów. To też zaś z 61 członków mogliśmy uwolnić od wkładów miesięcznych ośmiu.

#### Dochód:

Składki członków . . . . .	504 fr. 50 ct.
Składki na szkołę . . . . .	153 „ 30 „
Odsetki funduszu żelaznego .	1.227 „ 90 „
Nadzwyczajne . . . . .	4 „ 75 „
<hr/>	
	1.890 „ 45 „

#### Rozchód:

Książki i czasopisma . . . .	201 fr. 45 ct.
Oprawa książek . . . . .	207 „ 40 „
Opłata od listów i paczek . .	68 „ 60 „
Szała dla książek . . . . .	20 „ —
Lokal, opał, światło i usługa .	423 „ —
Przybyło do funduszu żelaznego	970 „ —
<hr/>	
	1.890 fr. 45 ct.

Fundusz żelazny wynosi obecnie 16.451 fr. 10 ct. i rozkłada się na:

a) fundusz biblioteczny . . . .	7.068 fr. 10 ct.
b) „ „ szkolny . . . . .	9.383 „ —

Wreszcie z 25-centimowych składek, dawanych miesięcznie przez członków „Bratniej pomocy“, udzielono 310 fr. na pożyczki bezprocentowe; 215 fr. rozdzielono pomiędzy potrzebujących; pozostało w kassie na rok następny 236 fr. gotówką.

Mając za opiekunów Towarzystwa: J. I. Kraśzewskiego, Z. Miłowskiego, E. Orzeszkową, A. Gillera, A. Małckiego, J. Baudouin de Courtenay, Fr. Kopernickiego, L. Jenikego, księdza B. Chwałę, J. Czepielowskiego, nie możemy ustawać w pracy, ani zwątpić o przyszłości. Przeniknięci wyższą ideą, pragniemy walczyć przeciw wzmagającej się obojętności, faryzeuszowstwu i krzykactwu—przez wytrwałą i spokojną pracę i ściśle wypełnianie obowiązków zajmowanego stanowiska.

Jassy, dnia 31 Grudnia 1884 roku.

## LISTY Z CZECH.

Towarzystwo czeskich kawalerów. — Czeski; dawniejsze i teraźniejsze stosunki. — Wielkie i małe wieczorki towarzyskie. — Jubileusz: pieśni „Kde domov muj”, i „Hej Slavané”. — Samo Tomaszik. — Wdzięczność narodowa. — Po 50 latach. — Teatr narodowy. — Intrygi zakulisowe. — Młoda artystka. — Kaprysy. — Gość warszawski. — Czeski klub amerykański Naprstek. — Z literatury: Vrchlicki i Swatopluk Czech. — Dzieło o Szlązku. — Kalendarz. — Mazur w Czechach.

(Dokończenie).

Druga pieśń, której jubileusz prawie jednocześnie obchodzono: „Hej Slowanel” odznacza się poniekąd innym charakterem. Jest to bowiem czeska „Marsylianka”. Text ułożył Słowak, Samo Tomaszik (obecnie pastor w Chyżnem w Słowacji na Węgrzech), bawiąc 1834 r. w Pradze; melodia zaś wzięta jest z jednej starej naszej pieśni. I tej pieśni wpływ był ogromny; śpiewano ją przy każdej okazji patriotycznej, i niemało się przyczyniła do obudzenia ducha narodowego. Naród czeski, chcąc żyjącemu jeszcze autorowi tej pieśni dać dowód skromnej wdzięczności, zebrał ze składek na dzień jubileuszowy kilka tysięcy guldenów, które mu wręczyła w Chyżnem deputacja, składająca się z dwóch czeskich literatów. Wielka z tego powstała pod Tatrami radość i starszek, Samo Tomaszik, uważał za obowiązek, osobiście Czechom podziękować; przyjechał więc do Pragi w towarzystwie kilku patriotów słowackich. Pobyt Tomaszika na czeskiej ziemi był nieprzerwanym łańcuchem owacy i wyrazem serdecznego przywiązania. Wszędzie, gúzietylko Tomaszik się pojawiał, nie tylko w Pradze, ale i na prowincyi, na stacyach kolei, witano go jego pieśnią i darami. Istotnie, rzadko kiedy poeta zbiera tak słodkie owoce miłości ludzkiej. A trzeba w dodatku wiedzieć, że sława Tomaszika opiera się prawie na tej jednej pieśni.

Niesłychanie ciekawą rzeczą było porozmawiać ze starszkiem, który po upływie lat 50-ciu powrócił do Złotej Pragi, gdzie, pod wrażeniem rozpacz nad zgermanizowaną stolicą Czech, przed pół wiekiem napisał był swój utwór. Jaka olbrzymia różnica odbijała się w wyrazach nowych jego wrażeń i nowych strumieni łez! Wtedy, przed 50-u laty, rozpacział wśród garstki ludzi, którzy dochowali wiary, dziś stał przed fenixem odrodzonym z popiołów. Wszystko, co się starszkowi przed oczami snuło, zdawało się mu być snem, bajką, bo własnymi oczami widział, o czym ani on, ani społeczeństwo jego nawet, nie marzyli. Rozumieliśmy zatem ten strumień łez, co płynął tak cicho z oczu starszka.

Szkoda, ach szkoda, że taksamo nie było już można uczcić Tyla i Szkrupa, twórców hymnu: „Kde domov muj”. Ale oni patrzą na nas już z wysokości gwiazd.

Od pieśni niedaleko do teatru: przechodzę zatem do tego przedmiotu, tembardziej, gdyż dzieją się tam rzeczy, o których wypada choć słów kilka powiedzieć. Otóż bez przesady mogę powiedzieć, że nasze *Diwadlo* coraz nabiera pod pewnym względem charakteru scen wielkiego świata. Ale lepiej było dla nas, gdyby tych sobie nie przyswoił. Otóż intryg zakulisowych w diwadle niemal tyle, co w Paryżu, i skandalików też potrosze. Niewiadomo dlaczego opuściła scenę panna Irma Reichówna, śpiewaczka, przenosząc się do opery Peczteńskiej, i podobnie żegna scenę utalentowana artystka, panna Marzenka Pospieszilówna. Nie mogła się jakoś pogodzić z dyrektorem, narzekała na „systematyczne tłumienie jej talentu” i t. d., zrobiła skandalik z kulisami i w gazetach. Wskutek tego przyszło do dymisji. Ale nie dosyć na tem. Publiczność podzieliła się na dwie partie; pomagając intrygować, dolewała oleju do ognia. Jedni stoją po stronie dyrektora, drudzy znów po stronie artystki i „nieuznanego” talentu, i ztąd walka. Co do nas, zmuszeni jesteśmy stanowczo stanąć po stronie dyrektora, z przyczyny, że dobrze wiemy, jak Marzenka mało brała do serca sprawę instytucji na-

rodowej. Oskarża ona dyrektora, że lekceważył jej talent; tymczasem wiemy, że Marzenka wystąpiła w przeciągu roku 141 razy i byłaby jeszcze częściej występowała, gdyby nie odrzuciła kapryśnie siedmiu ról. Prócz tego często dostawała „kataru” lub innej artystycznej choroby, przez co psuła umyślnie układ repertoaru i ogólną karność, bez której żaden teatr istnieć nie może. Prócz tego nie jest nam tajno, że tasama Marzenka, kokietując z publicznością czeską i mając w czeskim teatrze bardzo ładną pensyją, pobierała nauki języka niemieckiego, widocznie w tym celu, aby przy pierwszej lepszej sposobności przejść do sceny niemieckiej. Skoro tak, to z Panem Bogiem! Bardzo się jednak myli sądząc, że gdzieś za górami lepiej będą jej talent oceniali, albo że ohotniej będą znosili kaprysy jej zarozumiałości. Mówią nawet, że Marzenka ma zamiar jechać do Warszawy i do Moskwy na gościnne występy i reprezentować poza granicami czeską sztukę. W tej kwestyi dobrze-by było zwrócić uwagę artystki na to, że jej talent nie jest jeszcze taki, aby z nim mogła chlubić się przed zagranicą. W Warszawie przynajmniej żadna Marzenka *furore* nie zrobi i zrobić nie powinna; mają bowiem w Warszawie swoje i lepsze artystki. Żadni impresaryowie ani przyjazne stosunki między Czechami i Polakami w takich rzeczach nie rozstrzygają. Zresztą kto chce podobny stan rzeczy wyzyskiwać, sam daje o sobie złe świadectwo.

Przy tej sposobności należy mi wspomnieć o gościnnych występach warszawskiej śpiewaczki panny Hermanówny, która występowała na scenie narodowego teatru w końcu przeszłego roku z powodzeniem, pochlebnie nie tylko dla niej, ale i dla polskiej sztuki. Śpiew i estetyczność gry gościa warszawskiego, zachwycaly ogół naszej publiczności, co tem więcej zasługują na uwagę, że właśnie przed panną Hermanówną występowało w Pradze kilka śpiewaczek europejskiej sławy, naprzykład pani Wild z Wiednia. Żegnała się też publiczność i krytyka z gościem warszawskim jaknajserdeczniej, dając rzetelny dowód, że takich gości życzy sobie mieć w swoim „złotym domu” jaknajwięcej. Pożegnalne przedstawienie było owacyą dla artystki, która zapewne mile o tem wspomina.

Ponieważ piszemy o czeskich jubileuszach wypada zatem zwrócić uwagę na „klub amerykańskich pań”, który przed dwudziestu laty przez pana V. Naprstka założony, niemało się przyczynił do rozwoju kwestyi kobiecej w Czechach. Klub ten został przez rząd rozwiązany, mimo że jednak istnieje dalej—bez statutów i istnieje w gruncie rzeczy, dzięki p. Naprstkowi, dotąd. Dnia 11 Stycznia r. b. było temu 20 lat, jak „amerykański klub” istnieć począł. Duszą klubu był p. Naprstek, który cicho i bez hałasu już tyle zrobił dla swego społeczeństwa. Czynność klubu bardzo była obszerna i miała na celu rezumną emancypacyą kobietą doprowadzić do skutku, co działo się zapomocą odczytów dla kobiet, urządzanych w salonach p. Naprstka, przez dostarczanie książek młodym kobietom i t. d. Klub zajmował się też praktycznymi kwestyami, dostarczał sposobności poznajomienia się z wszelkimi nowymi wynalazkami, tam też zakiełkowałam myśl założenia osobnego domu sierot dla dziewcząt. To wszystko popierał i dotąd utrzymuje swemi funduszami i swemi radami zacny Naprstek. Nie każdy wie, ile Naprstek i żona jego dla dobra ogólnego robią, u nich bowiem nie wie ręka prawa, co zrobiła ręka lewa. Tem większa zasługa. Skromna to figura, demokrata do szpiku kości, lecz największy pan powinien zdjąć przed nim kapelusz. Szkoda tylko, że takich Naprstków w świecie tak mało! Poruszając wspomnienia amerykańskiego klubu pań czeskich, nadmieniamy jeszcze, że w tym ognisku zbierały się zawsze najlepsze kobiety czeskie, i że z nich niejedna stała się przewodniczką nowego pokolenia.

W literaturze mamy ciągle ruch hyperprodukcyjny, co nie pod każdym względem można uważać za ślady korzystnego rozwoju. Wychodzi dużo, pokazują się nierzadko prace wielce cenne, lecz wśród zalewu jest też dosyć plewy. Rej-

w pięknem piśmiennictwie ciągle wiedzie niezmeżony Vrchlicki, którego czynność istotnie jest bajeczną. Biorąc na uwagę, że zajmuje jednocześnie stanowisko sekretarza w politechnice, trudno zgadnąć, zkad ma czas na wszystko i zkad bierze siły fizyczne i moralne. Ale to już tak w Czechach; są ludzie, którzy pracują gorączkowo, bez spoczynku—za darmo! Kto to wie? Idzie się do księgarni—nowa książka Vrchlickiego, idzie się do teatru—sztuka Vrchlickiego, idzie się na koncert—prolog Vrchlickiego, czytasz gazetę—artykuł Vrchlickiego. W najświeższym czasie wydał Vrchlicki cztery nowe publikacje: „Perspektywy” i „Antologią włoską”, przekład Canizzara i tam dalej. Co do płodności i wartości prac śmiało konkuruje z Vrchlickim drugi poeta czeski, i Świętopełk Czech, Redaguje on miesięcznik *Kwiaty*, poprawia artykuły swoich współpracowników, koryguje korespondencyje i wydaje własnych prac tom po tomie. W przeszłym roku wydał Czech sześć tomów swoich poezyi, powieści i wrażeń z podróży. Jedna tylko jest różnica między Vrchlickim i Czechem, że Vrchlickiego od czasu do czasu przynajmniej widzieć można w gronie literatów (we Wtorki u Petzolda), bywa też często z żoną w teatrze, tymczasem Czech (kawaler) nigdzie nie bywa, chodzi tylko tam, gdzie nie ma literatów (!), nie chodzi nawet do teatru—mimo to, że ma bilet. Jeszcze jedna jest różnica między Vrchlickim i Czechem: Vrchlicki co chwila, napadany jest przez krytyków, tymczasem Czech ma święty spokój. Czy nie dlatego, że unika ludzi? Skromni są obaj co ich w towarzystwie robi bardzo sympatycznymi. S. Czech bywa skromnym do przesady; pisze pod 10 pseudonymami i jeżeli na jego cześć urządzają jakiś wieczorek z wielkimi owacyami, to mogą być pewni, że nie przyjdzie, wytlómaczy się zapewne katekiem.

Nakładem zasłużonego księgarza prazkiego J. Otty, wychodzi obecnie obszerne illustrowane dzieło pióra Dra Fr. Slamy (urzędnik sądowy w Cieszynie), zawierające gruntowny opis *Austriackiego i pruskiego Szlązka*. Jest to jedyne dzieło tego rodzaju w czeskiej literaturze i zdaje mi się, że Polacy nie posiadają w swoim piśmiennictwie nic wyższego. Styl Dra Slamy jest lekki, prawie felietonowy, jednak dzieło jego obznajamiam nas gruntownie z wszelkimi odcieniami tak zajmującego i dla Czechów i dla Polaków Szlązka. Drażliwych kwestyi polsko-czeskich unika Slama zupełnie, to jest każdemu prawu i sprawiedliwość pozostawia. Całe dzieło, pięknie illustrowane, stało się zapewne pożądanym podręcznikiem dla poznania tak mało znanego kątku słowiańskiego.

Wyszedł w tych dniach też kalendarz „Sewernich Czech”, wydany na korzyść czeskiej besedy w wodach czeskich. Książka zawiera kilkadziesiąt artykułów różnych literatów czeskich; jest artykuł jeden blisko obchodzący Polaków, mianowicie „Adam Mickiewicz u Czeskich wód”. Do książki przyłączony jest portret znanego Dra Krajewskiego, jak wiadomo prezesa Czeskiej Besedy w Teplicach.

O Polakach pisze się w Czechach ciągle dużo. Tygodniki, miesięczniki nawet i kwartalniki pełne są przekładów z języka polskiego, albo też artykułów oryginalnych odnoszących się do Polski. *Złota Praga* (Złata Praha) zamieszcza właśnie powieść *Kunigas* Kraszewskiego, z rysunkami Andriollego.

W dwóch prowincjonalnych miastach Czech chcą podczas tegorocznego karnawału gwałtem tańczyć „mazura”, rozumie się popolsku.... Ale to nie tak łatwo. Piszą nam z tych sympatycznych stron, że im brakuje do tego nauczyciela; zwrócili się nawet „urzędownie” do komitetu „Ogniska polskiego w Pradze” z prośbą o takiego kogoś, któryby ich mazura nauczył—ale jakos trudna na to rada.

Strach! rozpacz!

Edo. Jelínek.

# ZA OCEANEM

przez HELENĘ NEGRONI

CZEŚĆ TRZECIA.

(Dokończenie).

**Własność ziemska i jej położenie prawne.**—Rabulasy i małoletni.—Znajomości: państwo Beuf, państwo Moreno-Gonzales, Ex-prezydent Sarmiento; jego zawód i zasługi, osamotnienie i praca dla dobra ogólnego; prawy charakter i działalność publicystyczna.—Ex-prezydent Avellaneda.—Prezydent Rocca.—Teatra.—Muzeum zoologiczne i Darwin.—Pożeganie.

Nadzwyczajna taniość gruntu tutejszego jest głównym bodźcem dla kapitalistów europejskich do nabywania go. Najczęściej zakupują oni wielkie obszary i potem częściowo je sprzedają, albo też część sami zajmują na uprawę, a resztę wynajmują na hodowlę owiec.

Są okolice, gdzie zabezpiecen można kupować ziemię, szczególnie w miejscowościach mało zamieszkałych, jak na przykład nad brzegami Rio-Negro albo w Gran-Chaco; ale tam życie jest bardzo trudne, bo trzeba żyć zdala od stolicy, w której się skupia cały handel i gdzie jedynie można robić na sprzedażach korzystne interesy. Grunta więc położone bliżej miasta Buenos-Ayres, chociaż droższe, w rezultacie okazują się korzystniejszymi, bo więcej dochodu przynoszą. Od kilku lat ceny gruntu bardzo się podniosły i w miarę wzrostu ludności coraz bardziej idą w górę. Dawniej pierwszy lepszy, kto miał trochę odwagi i wypatrył sobie jakiś kawałek gruntu, o którym sądził, że do nikogo nie należy, osiedlał się na nim, stawiał dom, ziemię zorywał i po kilku latach, tak we swoim własnym, jak i w powszechnym mniemaniu uważany był za prawego posiadacza, a po upływie dwudziestu pięciu lat stawał się pełnym właścicielem, i jeśli prawdziwy właściciel zjawił się po upływie tego czasu, nie miał już prawa żądać zwrotu swego majątku.

Dziś podobne zajęcia rzeczy cudzej byłoby o wiele trudniejszym, zdarza się jeszcze jednak w prowincjach odleglejszych. Głównie bywa praktykowanym przez prawników i często kryje się w niem ogromne nadużycie, gwałt. Mając sobie powierzane sprawy sądowe, dowiadują się oni o gruntach należących do małoletnich, których rodzice zabrawszy do Europy, tam pomarli, pozostawiając dzieci w zupełnej niewiedomości o stanie interesów; nim dziedzice ci dorosną i znajdą możliwość upomnienia się o swe prawa, własność ich może przejść już w trzecie albo czwarte ręce; poprzednich posiadaczy niepodobna odnaleźć, niewiadomo do kogo się zwrócić, przeciw komu działać i tym sposobem zostają prawni spadkobiercy obdarci ze swego mienia.

Wogóle prawo tutejsze nie dosyć zabezpiecza własność małoletnich; częste są wypadki, że sieroty pozostałe po najzamożniejszym człowieku padają ofiarą chciwości rabusiów sądowych. Wprawdzie nadużycia podobne i w innych krajach się dzieją, a oprócz prawa pruskiego, które mienie sierot małoletnich oddaje w opiekę odpowiedzialnych delegowanych rządowych, tem tylko się zajmujących, wszędzie indziej narażone jest, jeżeli nie na grabież, to na zmarnowanie przez niedbałych opiekunów, co na jedno wychodzi.

Naokoło domu naszego, tak, zdawało się, oddalonego od śródka miasta, znalazło się kilka bardzo miłych rodzin, z którymi żyjemy w przyjaźni.

Niedaleko nas jest nowo-założona szkoła marynarki wojskowej, której założyciel i dyrektor, pan Beuf, z żoną swoją Greczynką stanowią bardzo miłe dla nas towarzystwo. Kolonia francuzka często się u nich zbiera, i kto tylko z ludzi znanych na polu naukowym tu przyjeżdża, nie powinien omijać domu wielce szanowanego i naukowego człowieka. U pana Beuf organizowała się swego czasu wyprawa wysłana przez Rząd Francuzki na przylądek Horn, dla obserwowania przejścia planety „Venus“, która najlepiej ztamtąd miała być widziana; a obecnie też u p. Beuf organizuje się wyprawa do odnalezienia zwłok Dra Creveaux i jego nieszczęśliwych towarzyszy.

Drugim miłem bardzo sąsiedztwem są państwo Moreno-Gonzales; jest on rodzonym bratem sławnego naturalisty i podróżnika tegoż nazwiska. U państwa Moreno zbiera się cały kwiat towarzystwa argentyńskiego. Poznalismy tu dwóch ex-prezydentów: Avellanedę i generała Sarmiento; dwanaście lat ich rozumnych rządów stały się błogosławieństwem dla kraju.

Generał Sarmiento jest już człowiekiem bardzo wiekowym, ale staruszek to pełen jeszcze życia i zdrowia. Niegdyś zawód jego wojskowy był nadzwyczaj świetnym; potem przez długie lata reprezentował ex-prezydent Rzeczypospolitą w Nowym-Yorku i, pełniąc tam obowiązki poselskie, został jednogłośnie obrany w Buenos-Ayres prezydentem. Po wyborach dopiero wrócił do kraju i odrazu rządu objął. Po skończonych sześciu latach prezydentury wszedł do rządu jako dyrektor oświecenia i odtąd podjęte obowiązki wypełnia, pomimo sędziwych swych lat, z całą gorliwością i inteligencją człowieka znajdującego się jeszcze w sile wieku.

Dziełem jego godnem uwagi, które jako pomnik nazawsze po nim pozostanie, jest zupełna reorganizacja systemu edukacyjnego w całej Rzeczypospolitej. Jego energicznym zabiegom i szalonej pracowitości zawdzięcza naród tutejszy wychowanie bezpłatne i przymusowe. Szkoły od kilku lat otwarte, tak dla chłopców, jak dla dziewcząt, nie nie pozostawiają do życzenia; są równe zupełnie szkołom europejskim.

Generał Sarmiento jest biczem bożym dla ludzi dopuszczających się nadużyć. Jako redaktor gazety, mającej ogromną popularność, wytyka w niej i nielitościwie chłoczsze tych, którzy zdradzili zaufanie publiczne; w obecnej chwili podniósł kwestyą bardzo drażliwą: nadużyć popełnionych na funduszach edukacyjnych, a wskutek tego wystąpienia kilka osób wysoko położonych, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Generał Sarmiento przeżył swą żonę i całą rodzinę; pozostał sam jeden i samotność swą zapełnia pracą nieustanną, mając dobro ogółu za jedyny cel życia.

Miałam też sposobność poznania doktora prawa Avellanedy, który był prezydentem jeszcze w chwili naszego przyjazdu do Buenos-Ayres. Można odrazu na pierwszy rzut oka poznać, że krew płynąca w jego żyłach zmieszana jest z krwią Indyan: jest też on prawdziwym Gaucho, ale wykształconym, inteligentnym i podniesionym na wyżyny życia i potrzeb społeczeństwa cywilizowanego, zmierzającego coraz wyżej ku cywilizacji; złożywszy prezydenturę, nie przestał pracować; jest autorem kilku dzieł prawnych, wielkiej wartości, i radaktorem gazety. Żona jego, kobieta wysoko wykształcona, mówi kilkoma europejskimi językami i wraz z córką tłumaczy na język hiszpański ciekawsze dzieła, wychodzące w Europie. Córki są milutkie, o śniadej bardzo cerze i czarnych jak kruk włosach; zachowały najzupełniej typ ojca.

Następcą Avellanedy jest Rocca. Fiziogno-

nia jego jest nadzwyczaj sympatyczna i szlachetna; cierpienie wryło na niej swe piętno, wogóle bardzo jest lubiany tak przez krajowców jak i przez kolonie cudzoziemskie. Żona jego, Paragwajka, ładna, podobna do Adeliny Patti, młoda jeszcze zupełnie kobieta, cała oddana wychowaniu dzieci, mało bywa w świecie i nie mówi żadnym innym językiem, prócz hiszpańskiego; utrudnia jej to stosunki ze światem dyplomatycznym, z którym musi żyć. Wszystkie te panie, tak obecna jak i ex-prezydentki, są bardzo łatwe w obejściu, bez najmniejszego śladu przesady albo dumy.

Wogóle towarzystwo tutejsze ma w sobie coś sympatycznego, co i życie wśród niego czyni bardzo przyjemnym. Wszyscy przyjmują, lubią zabawę; słyszy się dużo dobrej muzyki; panie mają wrodzony talent do śpiewu i fortepianu; ucząc się bardzo mało, ślicznie grają, a ulubionym ich kompozytorem jest Szopen, którego oddają ze zrozumieniem i wielkim uczuciem.

Teatrów ma Buenos-Ayres aż cztery: są one zawsze przepelnione. W operze dawano za mojej bytności *Lohengrina* Wagnera, *Fausta* czyli *Mefistofelesa*, napisanego przez nowego kompozytora Boito, i t. d. Wszystkie prawie znakomitości artystyczne europejskie słyszeć się tu dają.

Jedno z najciekawszych muzeów zoologicznych, istniejących na świecie, jest w Buenos-Ayres; nigdzie podobnie rzadkich okazów niema. Pan Burmeister, zasłużony na polu naukowym naturalista, od czternastu lat jest jego dyrektorem i wydaje ciągle opisy ciekawych tych zbiorów. Są to po największej części skielety zwierząt przedpotopowych, zupełnie wygasłych dziś gatunków, niektórych zaś istniejących jeszcze obecnie, tylko w znacznie mniejszych rozmiarach. Darwin, który przez kilka lat podróżował po Ameryce Południowej i był przez długi czas w Rzeczypospolitej Argentyńskiej i w Buenos-Ayres często bawił, badał je z największą ciekawością. Przed nim były już przedmiotem studyów szczególnych Humboldta, a obecnie p. Bavard i ostatecznie pana Burmeistera. Dzięki tym znakomitym ludziom, szczególnie dziełom ostatniego, muzeum tutejsze znane jest dziś w całym świecie naukowym.

Nikt nie pomyślałby, że Buenos-Ayres, miasto zaledwie wspomiane przy nauce geografii, o którym potem nikt najmniejszej wzmianki nie zasłyszy, jest tak cywilizowane, bogate, pełne zasobów i środków do wygodnego życia, i że wszystko, co się tylko nowszego zjawi w Europie, w kilka tygodni później znajduje się tutaj.

Cywilizacja europejska przesadzona na żyzny ten grunt, prędko się rozwija; wszystko jej tu sprzyja, a rozpatrzywszy się dokładnie wokoło siebie, i oceniając dodatnie strony tego młodego jeszcze społeczeństwa postępy, tak szybkie, biorąc na uwagę piękne jego dążności,—można mu tylko ze wzruszeniem zawołać: „Szczęść Boże!“

Z takim życzeniem opuszczalam Buenos-Ayres i Rzeczypospolitą Argentyńską, wynosząc z niej dobre wspomnienie, jakie mi zostawił w umyśle widok rozwijającej się energii i pracy ludzkiej, ustalającego się corazbardziej porządku wzrastającej oświaty, — wreszcie pożywie z ludźmi miłymi, uprzejmymi, pod względem przymiotów towarzyskich, przewyższającymi niejedno społeczeństwo europejskie.

K o n i e c .

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tyt.: **Silny duch**.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Dwaj śpiewacy, poezya przez A. Langego. — **Korrespondencya zagraniczna**, Poznań. — Medycyna popularna, przez Dr Starkmana. — Od Towarzystwa biblioteki polskiej w Rumunii w 1884 r. — Listy z Czech, (dokończenie), przez Edwarda Jelinka. — **Za Oceanem**, wspomnienia z podróży, (dokończenie), przez Helenę Negroni.

**Dodatek** obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 13-ty, przez W. Heimbürg. — Przegląd mód. — 11 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурю.

Варшава, 23 Января 1885 года.



PRZEGLĄD MÓD.

Bale. — Tualety balowe. — Pióra. — Kwiaty. — Motyle. — Rękawiczki jedwabne. — Brokatele i aksamity. — Woaliny u p. Kleczyńskiego. — Kolory modne. — Sznele, złoto, perełki, dzęty. — Suknia koronkowa u pani Thones. — Ubiorki dla mężatek.

Aż do chwili, w której to piszemy, bale nie bardzo się udawały, oprócz owych specjalnych balów, oznaczonych pewną liczbą osób, które naksztalt prywatnych udają się od dwóch już lat wybornie — bo koszt w porównaniu nie wielki i tualeta nie zbyt kłopotliwa. Otóż na tych balach wszystkie damy bywają w krótkich sukniach, że to ślicznie a zwłaszcza wygodnie, każda z nas wie — kolor biały i kremowy tak się ogólnie przyjął, że wszędzie i zawsze panuje. Mężatki tualety z atlasu kremowego zdobią blondyną, koronkami i kwiatami, często spotyka się śliczne tufy piórek z egretką i motylkiem w środku. Modele podobnych tufów widzieliśmy w tych dniach u pani Gliwic (Senatorska Nr 18).

Fantazyja naśladowania kwiatów przez pióra, a raczej fantazyja wyrabiania kwiatów z piór, nieustaje — naturalnie nie są to fijołki i niezapominajki lub konwalje, ale wszelkie większe kwiaty.

Panny zdobią zawsze i głowę i stanik i całą suknię kwiatami. Spotkaliśmy się z wielu kwiatami od panien Hoffman, bo też kwiaty, które ta fabryka (Nowy-Swiat Nr 3<sup>a</sup>) wyrabia, są bardzo ładne. Całe bukiety, całe girlandy do sukien z drobnych kwiatów, lub z samych pączków róż mszystych, są prześliczne, albo doniczki lewkoni wszelkiej naturalnej barwy lila, fioletowe, karmazynowe, z których jedna gałąź jeszcze nie rozkwitła, zakurzona, ludzą zblizeniem swem do natury. Bardzo wdzięczne są: fukcya spadająca swym ciężarem na dół i prymulki białe jak śnieg. Już i powtarzać nie trzeba, że kwiaty kilku firm znanych w Warszawie, mogą iść o lepsze z najsłynniejszymi paryzkimi, które też najzupełniej wyrugowane zostały. U pani Szymkiewicz widzieliśmy bardzo piękne lilie, fijołkowe i żółte, piękniejsze od paryzkich.

Na jednym z bali widzieliśmy śliczną kremową sukienkę, całą krytą kremowymi koronkami, naszytymi owalnie na przodzie, a z tyłu okrągło — od ramienia stanika, aż do dołu spódniczki, szła ukośnie girlanda traw morskiej, zasiana motylami świecącymi, jak robaczki świętojańskie — na głowie kilka takich motyli złączonych jakąś tęczową wstążeczką świecąca, sprawiało niewymowny efekt.

Dруга sukienka była koloru bladego korala z „crêpe-chine“, ale tego lekkiego „crêpe-chine“, które widzieliśmy u pana Makowskiego na Pla-



Nr 1. Ubranko balowe z kwiatów.



Nr 2. Naszyjnik z aksamitki.



Nr 3. Suknia balowa dla młodej ooby.



Nr 4. Suknia wieczorowa.

zu teatralnym — spódniczka w grube kontrafałdy, z pod której widniała wązka falbanka plisowana od fałszywej spódniczki; suknia z prawego boku, otwarta od pasa do dołu, ukazywała niby drugą spódniczkę z oliwkowego deseniowego aksamitu, na to spadały długie pukle z odpowiednich kolorów atlasowych wstążek wąskich, na dwa cale; staniczek wycięty odpowiednio, był przybrany plisowaniem z aksamitu i wstążkami, a bukiet pęków róż od pani Hoffman dopełniał go; także paki we włosach.

Staniki są prawie bez rękawków — za to rękawiczki albo długie duńskie, albo, co jest wielką nowością w sferze mody, długie jedwabne, gładkie, na trzy cale po za kostkę, a dalej ażurowe marszczone w odstępach każdych dwóch cali, przedzielone gumową plecionką, utrzymującą gładko rękawiczkę na ręku. Oglądaliśmy ogromny wybór takich rękawiczek u pana Adamskiego na Krakowskim-Przedmieściu, do wszystkich możliwych kolorów sukien, my jednak zawsze wotujemy za kolorem duńskim, który w jedwabiu śliczne ma cienie i tylko stosownie do sukni i gustu, należy wybrać odcień.

Dla starszych meżatek zawsze brokatele, adamaszki wyciskane i aksamit fryzowany, należą do strojnych tualet, rzadko jednak robią się z nich całe suknie, zwykle tylko przód, lub tren i stanik. Śliczne desenie takich brokatele, w różno-kolorowe kwiaty, na blado-złocistym, lub blado-kolorowym tle, widzieliśmy u pana

Makowskiego od 4 do 8 rubli i wyżej za łokieć. U pana Kleczyńskiego widzieliśmy nowy rodzaj woaliny na lekkie suknie, nadzwyczaj tania, bo po 80 kopiejek podwójnej szerokości, we wszystkich możliwych kolorach.

Najmodniejsze kolory na wieczorne tualety, są: pąsowy, biały, „morderée“ (morderowo-złoty) i fioletowy — na dzienne wizytowe kolor mchu i lila.

Bardzo wiele staników do cięższych sukien wyszywają złotem, odznaczając formę żuawki; fartuszki „tablier“, które do wieczornych tualet zawsze są bardzo w użyciu, robią z tiulu haftowanego sznelą, złotem lub perełkami, lub wreszcie z aksamitu haftowanego złotem i perełkami. Perełki i dzety we wszystkich możliwych kolorach doszły do zenitu mody, używają nawet dzetowych frendzli u zarzutek bałowych i bardzo strojnych zimowych okryć. Kapelusze prawie całe robią się z dzetu, a przynajmniej tył główki. Sznela i złoto służą ciągle do ozdoby tualety naszej — sławne obróżki na szyję, dziś tak modne do każdej tualety, zdobi zawsze złoto, sznela, dzety lub perełki.

Jako wielką nowość, widzieliśmy u pani Thones czarną koronkową suknię, przybraną ptaszkami ze świecących pąsowych i złotych piórek, a na podpięciu draperyi był kielich kwiatu złoczonego, z którego wychylała się kolorowa główka ptaszka, niby z gniazodka.

Mężatki noszą znowu na głowie ubiorki z wstążek, koronek i rozmaitych spięć metalowych lub brylantowych. W magazynie pani Bosz widzieliśmy mnóstwo ślicznych paryżskich modeli takich ubiorków, które bardzo słusznie powróciły do mody, choćby dla rozróżnienia panny od mężatki.

L. C.

## Opis rycin mód.

**Garnitur kwiatowy.** Rycina Nr 1. Garnitur ten służy do przybrania sukien balowych.

**Naszyjnik z czarnej aksamitnej wstążki.** Rycina Nr 2. Terazniejsze wysokie i podniesione do góry uczesanie włosów, sprzyja bardzo naszyjnikom z kokardami w tyle. Na rycinie przedstawiona jest kolia z czarnej aksamitki, z kokardą spiętą ozdobnią i modną agrafką.

**Suknia balowa dla młodej osoby.** Rycina Nr 3. (Potrzeba 15 metrów muszlinu lub gazy). Suknia ta wygląda szczególniej strojnie, jeżeli jest zrobiona na jedwabnej podszewce, tegoż co wierzchni materiał koloru. Przód u dołu wycięty jest w duże zęby, objęte atlasowym rulonem i wypełnione bufkami z muszlinu (jeżeli cała suknia jest muslinową) a powyżej przybrany trzema bufkami, koronkami, atlasowymi koronkami i różami. Trzy duże bufy i krótką draperya, stanowią przybranie sukni z tyłu; stanik z bawetem przybrany jest u góry garnirowaniem z muszlinu i koronki, a u dołu atlasowymi rulonikami.

**Suknia wieczorowa.** Rycina Nr 4. Spódnica tej sukni pokryta jest fałdowanym i koronkowym wolantem, oraz wachlarzem z fałd rozszerzającym się ku dołowi. Długa, spiczasta u dołu tiunika, oszyta jest sznelową frendzlą, a zaokrąglony tren, koronką frendzlą

i wązkiemi falbankami. Tren i tiunika zrobione są z ciężkiego materiału, zwanego „broché à chenille“, podobnie jak i spiczasto wycięty stanik. Napiersnik przybrany sznelą, pół-długie rękawki i cały staniczek — koronką.

**Tualeta balowa z materyi i gazy.** Rycina Nr 5. (Potrzeba 6 metrów gazy). Spódniczka i stanik zrobione są z jedwabnej materyi; przód spódnicy pokryty jest draperyą gazową, a tylny bryt gładko spadającymi fałdami. Przód sukni i gazowa berta u stanika, przybrane są koronkami i atlasowymi wstążkami; stanik z formą bawetu z przodu, z tyłu ma wachlarzowo fałdowany karczek; rękawki zastępują spadające od berty koronki. Staniczek zapięty ukośnie i oszyty atlasową plisą.

**Suknia balowa dla młodej osoby.** Rycina Nr 6. Muszlin lub gaza, jest stosownym na tę tualetę materiałem. Spódnica do połowy wysokości pokryta jest wolantem, w kontrafałdy ułożonym, na to spada długa tiunika, przybrana koronkami i jedwabnymi bombelkami. Przybranie tylnego brytu na bokach, stanowią także bombelki i fałdowana koronka, przewinięta na wzór żabotu. Jedwabny stanik zapinany z tyłu, z przyszytymi połami, ozdobiony podobnie jak i tiunika kwiatami.

**Suknia wieczorowa.** Rycina Nr 7. Przód spódnicy z wyciskanego aksamitu, tiunika i tren z grubego jedwabnego repsu. Tiunika udrapowana pół-okrągło, obejmuje suknię w około do tylnego brytu. Z tyłu ogromna bufa, która spada na dół i przykrywa tym spo-



Nr 5. Tualeta balowa z materyi.



Nr 6. Suknia balowa dla młodej osoby.

sobem przyszyć trenu, podszytego jedwabną kolorową podszewką, a naszytego u dołu i z boków szeroko koronkami. Staniczek krótki tylko do pasa, podpięcie z boku przybrane jest bukietem kwiatów.

**Tualeta wizytowa.** Rycina Nr 8. Spódnica stanik tej sukni, zrobione są z deseniowej jedwabnej materii; wysoki ufałdowany wolant z gładkiej. U dołu spódnica ma 20 centymetrów długie rozcięcia, w równych jeden od drugiego odstępach; rogi u tych rozcięć podszyte są aksamitem i wywinięte na wierzch, u góry znajduje się aksamitna rozetka, a pod zębami podszyta jest plisowana falbana. Udrapowana „à panier“ tiunika, dopełniona jest z tyłu dużą bufą. Przybranie sukni stanowią koronki i aksamitne wstążki. Stanik przybrany aksamitnym, śpiczasto zakończonym u dołu napiersznikiem i długimi ranwersami; ranwersy te przykrywają przyszyć kołnierzyka z materii i koronki, który zakrywa część pół-krótkich rękawków.

**Suknia balowa.** Rycina Nr 9. (Potrzeba materiału: 15 metrów muslinu). Spódnica przybrana jest wążutkiem garniowaniem, również wążkami wolantami i różami; powyżej znajduje się draperya, z lekka podpięta na bokach. Staniczek z atlasowym napiersznikiem naszyty sznurkiem tak, aby naśladował sznurowanie. Do boku i do włosów bukietki z róż.

**Strojna suknia wieczorowa dla starszych pań.**

Rycina Nr 10. (Potrzeba 7 metrów aksamitu i 7 metrów jedwabnej materii). Suknia ta jest zrobiona z aksamitu i ciężkiej jedwabnej materii.

Napiersznik u stanika aksamitny, zakończony śpiczasto. Sute bufiaste upięcie trenu, połączone jest ze stanikiem. Egretki z czaplich piórek służą do przybrania stanika i włosów.

**Suknia balowa.** Rycina Nr 11. (Potrzeba 10 metrów jedwabnej materii). Spódnica pokryta sutym koronkowym wolantem; z przodu rozparta tiunika, oszyta koronką i przybrana kwiatami. Stanic-

zek z bawetem i krótkimi koronkowymi rękawkami, przybrany jest z przodu koronkami podług ryciny.

## OPIS NIEKTÓRYCH RYCIN W BLUSZCZU N. 4.

### Poduszczałka do chustek od nosa (sachet).

Rycina Nr 7.

Poduszczałka 30 cent. szeroka, a 50 cent. długa, w połowie swojej długości złożona, na wierzchniej stronie pokrywa się częścią plecioną z pasków niebieskiego i brązowego atlasu, otoczoną fałdowaną plisą z brązowego atlasu. Na plecioną część kraje się z brązowego atlasu 7 lub 4 centimetra szerokie, a 18 centim. długie paski, z niebieskiego zaś 9 lub 4 centim. szerokie, a 13 centymetrów długie, następnie składa się je wszystkie tak, aby miały szerokości 1 i trzy-czwarte centimetra, przeplata je-

dne przez drugie podług ryciny i przymocowywa gotową już część na muslinie. Potem kraje się z brązowego atlasu na ukos 6 centim. szerokie pasy, fałduje się widocznym sposobem, kładzie na podkład z muslinu, a szew przykrywa się sznurem. Spodnia część poduszczałki pokryta jest brązowym atlasem, podwatowanym i przepikowanym w kratkę białym jedwabiem. Wewnętrzna część z niebieskiego atlasu pikuje się też w kratkę, łączy się ją z wierzchnią częścią, obszywa całą poduszczałkę grubym sznurem, który widocznym na rycinie sposobem, ułożony jest w pętlice; potem przyszywa się do jednej bocznej strony poduszczałki kwasty z jednokolorowego jedwabiu. Kwasty te przy zamykaniu saszetki, przeciąga się przez odpowiednie pętlice.

### Dwa szlaki do prześcieradeł ręczników lub t. p. podwójnym, płaskim, kordonkowym i stębnowanym ściegiem.

Rycina Nr 13 i 14.

Oba szlaki haftowane są na mocnym płótnie, którego nitki dają się z łatwością policzyć, białą płaską bawełną, ściegiem podwójnym, płaskim, kordonkowym i stębnowanym, oraz ozdobione podług ryciny obhaftowanymi dziurkami.

### Przepisy gospodarskie.

#### Jak zachować pozostały surowy drób, zwierzynę lub cielęcinę

Często się zdarza, iż przygotowujemy więcej pieczonego dla spodziewanych gości, niżeli następnie przybędzie — ztąd zmarnowanie, zmarnowania. Rada na to taka: pierwszym warunkiem nie solić, a wtedy naszpikowane pieczone, bo tak drób, jak i cielęcina, nie tylko zwierzyna się szpikuje i oblać rozpu-



Nr 7. Suknia wizytowa.

Nr 8. Tualeta wizytowa.

szczoną tylko friturą (łój wołowy gotowany), robiąc to powoli i obracając przy polewaniu na wszystkie strony, tłuszcz powinien być zaledwie wolny, robić należy w chłodnym miejscu, aby tłuszcz zastygał w tej chwili, gdy cały indyk, cielęcina lub zając oblane i zastudzone tak, aby żadnym otworem powietrze nie dochodziło, obwinąć w czyste płótno (ścierkę) i schować w chłodne miejsce, na górę, w kosz lub skrzynię, aby koty nie zrobiły szkody. Biorąc do użytku za tydzień, nawet, zlizować nożem skrzepły tłuszcz, lecz pod żadnym pozorem go nie rozgrzewać, a po oczyszczeniu zupełnym z takowego używać jak zwykle.

zostają nietknięte na stole — dowód, że lenistwo jest wrodzoną wadą naszą.

### Kotlety lub filety cielęce z trufkami. (Sautées).

Cielęcina, jako mięso mławe, potrzebuje zawsze różnych dodatków i dla tego podaje się w rozmaity sposób.

Ukroić piękne cienkie plastry, nie duże, z górki, z której się robią kotlety, lekko zbić, żeby nie były zbyt cienkie po rozbiciu, i posoliwszy trosz-

i podać na stół. Tak samo podają się bite cielęce kotlety i nazywają się wówczas „cotelettes sautéés“.

L. C.

**Sprostowanie:** W N-rze 53 r. z., w Przeglądzie mód, przy wzmiance o magazynie tanim pani Marcinkowskiej, zaszła pomyłka: magazyn mieści się przy ulicy Ś-to Krzyżkiej Nr 11 a nie 14.



Nr 9. Suknia balowa.

Nr 10. Strojna suknia wieczorowa dla starszych pań.

Nr 11. Suknia balowa.

### Jak podawać pomarańcze.

Pomarańcze, ten miły i soczysty owoc, podany w całości, czyni zawsze pewien ambaras w obieraniu — najlepiej więc, nadkroiwszy na cztery części skórkę, obluźować ją od pomarańczy, pomarańczę zaś samą rozdzielić ze środka o tyle, aby trzymając się całości, jednak rozsypywała się na części. Tak podane pomarańcze nie wymagają już nożyków, a gdy są słodkie, z miłą chęcią bywają spożyte. Gdy pomarańcze są jeszcze kwaśne, wtedy najlepiej je obrać, pokrajać w plasterki i pocukrzyć na godzinę przed podaniem. Pomarańcze podawane w całości, zwykle mało mają amatorów —

kę, bo kotlety cielęce zawsze się lekko soli, żeby nie czerwieńiały, rzucić na rumiane masło i uważnie usmarzyć, żeby nie były zanadto rumiane. Na to samo masło można rzucić następnie, rachując na każdy kawałek po dwie cienkie trójkątne grzanki z bułki, okrojone ze skórki i usmarzyć tak, aby chrupały. Mieć ugotowane oddzielnie trufle lub pieczarki; wziąć na dwie osoby, czyli na cztery filety łyżkę masła dobrego, zagotować z łyżką rumianej maki, rozebrać smakiem z trufli, dodać dwie łyżki madery, włożyć cienko pokrajane trufle, spróbować na smak czego brakuje — soli, lub madery i zagotować dobrze. Na półmiseczku ułożyć podłużnie jeden filet, na to grzanka ukośnie — następnie drugi filet, grzanka i tak dalej; polać sosem z trufkami lub pieczarkami

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z faszerowanymi jajami.
2. Sztukamięsa rumiana z garniturem — kartofle opiekane, marchewka, cebulki, buraczki i t. p.
3. Kuropatwy z kompotem ze śliwek w occie.
4. Krem czekoladowy.